



## BEZIMIENNA.

POWIEŚĆ Z KOŃCA XVIII. WIEKU.

PRZEZ

B. BOLESŁAWITĘ.

(Ciąg dalszy.)

## XXXII.

W życiu człowieka są czasem fatalizmy tak straszliwe, jak w tragedjach greckich; wszystko się zdaje składać na nieuniknioną zgubę; ludzie, przypadki, położenie, samo wewnętrzne usposobienie, które odbiera siłę oporu i w przepaść pociąga zobojetnieniem.

W parę dni po tym wieczorze Hela przyszła z robotą, zastała Starościne miłszą jeszcze, serdeczniejszą, bardziej przyjacielską, niż kiedykolwiek, a nadewszystko rozmowną.

Prawie bez wstępu zaczęła zaraz o swym przyjacielu, wrazeniu, jakie na nim zrobiła Helena... ażeby ją nieustraszać tem, odmalowała miłość rodzącą się jako pełną uszanowania...

— Wszystko to kochana pani — odpowiedziała jej Helena wysłuchawszy cierpliwie — do niczego nie prowadzi i przykrość tylko mi czyni... Przyznam się pani otwarcie, gdyby ten człowiek, którego znam tak mało, miał nawet zamiary... jakie... gdyby chciał żenić się ze mną, ja pójść bym za niego nie mogła... Jesteśmy bardzo biedne, uczyniłabym tę ofiarę dla matki i mojej Julki chorej... ażeby los ich polepszyć... gdybym była zupełnie wolną... ale...

— Jakto? A cóż cię wiąże?

— Posłuchaj mnie pani — rzekła Hela spokojnie — opowiem wszystko...

I poczęła z uczuciem łagodnem, z przejęciem opowiadać całą historję poznania pana Tadeusza w Dobrochowie, tając tylko imię jego i nazwisko, gdyż czuła, że mogła

człowieka zmuszonego ukrywać się — zdradzić. Imię to zresztą nicby nie dodało.

Starościna słuchała z żywym zajęciem, rozpytywała, domyślała się może więcej niż było i — rzecz dziwna — to coby ją powinno było zrazić i zastraszyć — ośmieliło tylko... Serce dziewczęcia było otwarte, gościło w niem uczucie, zdobycie zdawało się łatwiejszem... знаła ludzi po swojemu...

Z politowaniem niby, potrząsając głową poczęła mówić do Heleny:

— Mój Boże, jak to wy wszystkie młode jesteście łatwowierne i dobroduszne... ile to trzeba doświadczenia, żeby nabyć rozumu!! Ten twój nieznajomy jak słyszę, ani ci się oświadczył, ani przyrzekł nic, ani nawet wyraźnie powiedział, że cię kocha... Sama to wyznajesz! Stary jakiś bałamut! chciał z waćpanną chwilkę spędzić przyjemną, a ty sobie tem będziesz życie wiązać!! On nie przyjedzie pewnie, a tu stracisz waćpanną, co się nie łatwo drugi raz nadarzyć może... Matka w stanie biédnym, siostra chora, obie potrzebują wygód, ty wypoczynku... i wszystko to... poświęcasz dla mary, dla jakichś tam nadziei próżnych, które zwiódą, które zawieść muszą.

— Nic nie poświęcam... boć przecie mi pani dałaś do zrozumienia, że i tenby się ze mną ożenić nie mógł.

Starościna na tak wyraźne zagadnięcie, zawahała się, wołała od razu rozbić tę największą trudność, aby się z nią później nie spotykać.



— Zapewne że teraz... nie, rzekła — ale gdy interesa jego, gdy familja — później... o! zrobiłabyś z nim cobyś chciała! Tybyś go zawojowała, przywiązałby się... musiałby... Już i tak zakochany szalenie... a coby to było, gdybyś na niego była łaskawszą?

W położeniu biednej Heleny była to straszliwa pokusa. Szatanby pewnie nie wymyślił groźniejszej... Matka i siostra! dwie istoty, które ona tak kochała. — Gdyby szło o nią tylko samą, gdyby potrzeba było jej jednej męczyć się i pracować — czekać i cierpieć — zniosłaby wszystko... ale matka i chore dziecię!

Nędza osobista w szlachetnem sercu to dźwignia nowa do podniesienia się — ale gdy się patrzy na cierpienia cudze i nie może ratować... tylko poświęceniem — jakże oprzeć się trudno. Cały świat sieroty zamykał się w tem małym kółku jej drogiem, w tej co dla niej była matką, i co ją kochała więcej niż siostrę... Do obu przywiązaną była namiennie... i czegoż nie uczyniłaby dla nich. Starościna rzucała jej w serce pocisk bolesny, jakby wyrzutem egoizmu... Miałż ich poświęcać dla siebie, nie sama cicho... święcie — zrobić im z siebie ofiarę?

Z tej rozmowy wyszła Hela rozmarzona, niepewna, pobiegła do swego pokoiku i chodząc po nim płakała...

Dziwne myśli przebiegały skołataną głowę... ze zburzonej piersi wyrывało się nieopędzone pytanie: — Mamże prawo poświęcać je dla siebie?

Starościna zachwiała jej wiarę w pana Tadeusza, sama ona teraz przypominając sobie ostatnie z nim rozmowy, znaleźć w nich nie mogła nic, coby jej przyszłość wiązało... Była wolną... a obowiązek wdzięczności zmuszał ją do poświęcenia... Łzy się lały... po człowieku, dla którego czuła więcej niż przyjaźń i szacunek... a łzy te zdawały się egoizmem występny...

Serce opierało się ofierze, przypominała wieczory te ciche, jedyne w swem życiu, pierwsze w których do niej przemówiło uczucie... te godziny rozmowy błogie, te opowiadania, których oniemiały słuchały. Każdy szczegół tych chwil żywo powracał w pamięci — a zerwane stosunki na wieki... zapowiadały wieczną tęsknotę i żale po człowieku... którego teraz dopiero... kochała... Miłość jej była spokojna ale nieprzełamana — żyć bez niego było to umrzeć.

Ale czyż dla tych istot drogich nie powinna oddać choćby — życia?

Wróci — mówiło jej serce... Któż wie! sprzeciwiał się szyderski głos Betiny...

Po całej nocy dumań i walki, nazajutrz Helena wstała z mocnem postanowieniem szukania bankiera Kapostasa. Wiosna się zbliżała... Któż wie, on mógł przybyć i szukać jej napróżno!

Pani Ksawerowa zupełną jej zostawiała swobodę; zrana więc mogła wyjść na miasto i wybiegła nie wiedząc jeszcze,

w jaki sposób ma go szukać. Rachowała na instynkt, na szczęście swe... na opatrność.

Nie wiedziała, że każdy krok jej z jednej strony niepokojna Starościna, z drugiej generał zazdrośny śledzić kazali... w ślad za nią żebrak i stara kobieta z pod bramy powlekli się niby za jałmużną... nie spuszczać jej z oka.

### XXXIII.

Znalazłszy się w ulicy, dopiero Hela rozmyślać począła, jakimby sposobem nie zwracając niczyjej uwagi, mogła się dowiedzieć o Kapostasa.

Owe poszukiwania moskiewskie w Dobrochowie w chwili, gdy Siechnowicki uciekać ztamtąd musiał — łatwo się jej domyślać dozwalały, że najmniejszą nieostrożnością zdradzić może tego, którego całem sercem kochała. Nie miała nikogo znajomego, komuby zaufać mogła... Instynkt kobiety poprowadził ją do kościoła, miała wiarę w kapłana, spodziewała się od niego wyrozumiałości i pobłażania... nareście zachowania tajemnicy... Przecucie ostrzegało ją o potrzebie ostrożności. Z Bielańskiej ulicy machinalnie przebiegła na Miodową do Kapucynów, poklekła się modlić, a ujrawszy w konfessjonale siedzącego staruszka z siwą brodą, który nikogo nie spowiadał, zbliżyła się do niego, całując go w rękę. Zakonnik sądził, że chciała ukłęknać do spowiedzi i wskazał jej miejsce...

— Ojciec mój — rzekła po cichu — nie jestem przygotowaną do spowiedzi... ale przyszedł jako do duchownego po radę... Jestem bardzo biedna... ludzi się obawiam... nie odmówicie mi ojcowskiego słowa.

Staruszek pochylił się łagodnie.

— Czegoż to chcesz, dziecko moje?

— O! jestem bardzo biedna — powtórzyła — matkę mam ubogą, siostrę niedoroślą chorą... Oczekuję pomocy od opiekuna, od człowieka, który miał przybyć do Warszawy... Nie wiem gdzie go szukać, jak o niego pytać — chociaż...

— Dażże ci jaką skazówkę? — spytał ksiądz...

— Tak jest, mój ojciec, ale wiedząc, że człowiek ten był ściganym przez Moskali... nie śmiem użyć skazówki, abym... abym go nie zdradziła.

— Bardzo dobrze czynisz, bądź ostrożną.

— Ale przed tobą ojciec! jak na spowiedzi...

I Hela powiedziała mu nazwisko opiekuna a razem bankiera, u którego mogła się u niego dowiedzieć.

Starzec palec na ustach położył.

— Cicho — rzekł — cicho — dosyć! Rozumiem... U Kapostasa kazał się o siebie dowiedzieć...

— Tak jest, ojciec...

Staruszek nachylił się jej do ucha.

— Nie najlepszą ci powiem nowinę... Kapostasa ktoś zdradził... szukano go w Warszawie, Moskale aresztować chcieli, musiał biedny uciekać, lub siedzi gdzieś w ukryciu.



— A! nieszczęśliwa — cóż ja pocznę! — ręce łamiąc zawołała Helena.

— To nie potrwa — dodał Kapucyn — bądź spokojną, wróci on, wróci... wypłynie na wierzch gdy przyjdzie pora... Ale musicie poczekać do wielkiego tygodnia, jak wam wskazano... A bądźcie dobrej myśli — Bóg wielki!

W tej chwili z drugiej strony konfessjonau zastukał klęczący do spowiedzi mężczyzna, Hela pocałowała w rękę staruszka i odeszła.

Mimo pociechy zakonnika... serce się jej krwawiło — czuła ostatnią nadzieję straconą. — Czas szedł tak powolnie, a nędza była tak straszną dla chorego dziecięcia!

#### XXXIV.

Szła ulicą zamyślona, pogrążona, przybita, nie zważając na tłumy, które nią płynęły. Gwałtowna boleść, jakiej doznała, uczyniła ją prawie nieprzytomną; nie myśląc że tylu ludzi oczy zwróci na siebie, uszedłszy kroków kilka stanęła ręce załamując, podniosła głowę do góry i płakała. Zdrętwiała, piękna jak posąg przetrwała tak chwilę nie wiedząc co się działo w koło.

Była w tej chwili tak piękną, tak zachwycającą, a postać jej wyrażała boleść tak głęboką, iż wszyscy przechodzący, poczynawszy od żebraków, stanęli patrząc na nią... Do koła jakby wiankiem opasali ją ciekawi.

— Mój Boże, jakaż ona piękna! — wołali jedni.

— Ale cóż się jej stało? — mówili drudzy.

— Czego ona taka nieszczęśliwa? Co to jest? — szepotali inni.

Gdy Hela usłyszawszy wykrzyki te, wychodząc jakby ze snu, obejrzała się do koła, zawstydzona, oblała rumieńcem... i spieszenie chciała uciec.

Jakiś jegomość po francuzku ubrany stał wprost na przeciw niej, patrzył na nią zdziwiony, zachwycony, prawie osłupiały.

Strój a nawet rysy twarzy zdradzały w nim cudzoziemca... Wysiadł był umyślnie zwabiony tym widokiem z karetki, którą odprawił...

Gdy Hela przeleżała i zawstydzona co najrychlej unikając oczów i domysłów zwróciła się w boczne przejście pierwsze jakie spotkała, nie uważała, że krok w krok za nią ów nieznajomy podążał. Inni pzzechodnie pogonili oczyma, potrześli głowami i powoli się porozchodzili.

Nieznajomy przy szpadce i w peruce, choć nie młody, biegł tak nie chcąc jej stracić z oczów, że w chwilę po niej zdyszany dopadł bramy domu przy Bielańskiej ulicy. Tu dopiero stanawszy począł chustką się ocierać, zakaszał i musiał chwilę wypocząć.

Stojąc w bramie, pogonił jeszcze wzrokiem za Helą w głąb podwórza, śledził dokąd wejdzie... potem numer domu obejrzał, uderzył się w czoło i wysapawszy nieco udał się wprost do mieszkania Starościnej.

Betina wystrojona *en guerre*, chodziła z wachlarzykiem

w rękę po salonie, czekając na raport sługi, która jej o wycieczce Heli znać dać miała, gdy w progu ukazała się jej uśmiechnięta, pomarszczona twarz p. Marcellego Bacciarrellego, nadwornego malarza króla JMści.

Byli z sobą dobrze i dawno znajomi. Bacciarrelli trzy razy malował portret historjowany Starościnej jako pasterki, jako Dyany, jako królowej. Oprócz tego... któż nie wie, że do owych salonowych historj w Łazienkach najpiękniejsze panie dworu nie wahały się służyć za wzory... panie, których imiona dotąd świecą w odach stanisławowskich poetów? Pomimo tych chętnych modelek, Bacciarrelli potrzebował często i mniej kapryśnych, mniej zajętych i niecierpliwych wzorów... powolniejszych mu, a gotowych pozować, gdy on był gotów do malowania.

Naówczas właśnie Betina była w całym piękności rozkwicie (która jak wszystkie Włoszki zbyt długo kwitnąć nie miała), była próżną, chciała się dać poznać i chętnie służyła za wzór Bacciarrellemu... Na chwilę uczyniło ją to nadzwyczaj popularną... Zawiązała się ztąd przyjaźń z malarzem i stosunki życzliwe...

Od tego czasu wprawdzie wiele upłynęło wody i zatarło się wdzięków, nie proszono jej już, aby pozowała do Nymfy, do Diany i Astrei... ona sama nie życzyła sobie służyć za model do podrzędnej postaci. Zdziwiła się więc, postrzegłszy w progu Bacciarrellego... bo się uległa, aby jej nie zaproponował coś uwłaczającego wspomnieniu dawnej piękności... jakiegoś podżyłego bóstwa lub...

— A! moja bogini! — zawołał w progu malarz po włosku, gdyż Betina mówiła tym językiem doskonale... przychodzę do ciebie przypadkiem... Daruj! Powiedz mi, co tu za nadzwyczajna, świeża, urocza piękność ukrywa się w tym domu?

— Piękność inna... nie moja? — śmiejąc się spytała Betina...

— Ty jesteś cudowną w swym rodzaju — dodał grzeczny dworak — a tamta... tamta, nietylko że piękna jak wschodzące słońce... ale jeszcze — co rzecz osobliwa, niesłychana... jest tak podobną.

— Do kogo? — spytała Starościna...

— Do księżnej Wojewodzinej... Gdym malował królowę Sabę, potrzeba mi było typu wschodniej piękności... Właśnie świeżo po swem ożenieniu księżę Wojewoda przybył do stolicy... był to cud piękności.

— Drugi cud! — rzekła Betina.

— Nie — ten sam, posłuchaj tylko — kończył Bacciarrelli. Tym cudem piękności była żona jego. Gdym ją zobaczył, padłem na twarz... zakląłem się, że mi posiedzi choć pół godziny do królowej Saby... Ale nie wiedziałem, że trafił na księcia Wojewodę, zazdrośnego dziwaka, którego niczem ublażyć nie było można. Król sam grzecznie go o to poprosił, a odebrał wcale nie miłą odpowiedź.

— Najjaśniejszy Panie — zawołał Wojewoda — nasze babki i matki dawały ojczyźnie dzieci, ale nie malarzom wzory.



Nie było po co drugi raz tam wracać... Jednak gdy książe Wojewoda zaproszony został do stołu królewskiego wraz z młodą małżonką, urządziłem się tak, że niepostrzeżony w galerii na górze w sali białej, naszkicowałem tę śliczną twarzyczkę i dałem ją mojej królowej Sabie... Była jak dwie krople wody podobną, a że piękność Wojewodziny o szaleństwo przyprowadziła wszystkich, tłumy biegły do pracowni... Ale cóż! krótka pociecha... Książe Wojewoda dowiedział się, wpadł pod moją niebytność, płótno szpadą wykroił, położył tysiąc dukatów na krzesło i kartkę... Z kartki mogłem zmiarkować, że drugi raz portretować księżną nie było bezpiecznie... *Sono italiano...* a książe także pół Włocha... nie można z nim żartować...

— Ale cóż ty mi pół godziny prawisz o jakiejś tam Wojewodzynie? — spytała Betina.

— Bo jej piękność utkwiała mi w pamięci — dodał malarz, a to — a to jest żywy jej obraz... Gdybym nie wiedział, kto jest księżna Wojewodzina, osoba surowych obyczajów, no... posądziłbym... Podobieństwo jest więcej niż prostem podobieństwem, jest tożsamością... ruch, twarz, wyraz... postawa... Słowem! to cud! cud tem większy, że to się zdaje być prosta, uboga dziewczyna.

Betina przerwała.

— Nie mylisz się waćpan, już wiem o kim mówisz... To Hela — to Helena! ale powiem ci razem, że jeżeli nie mógł malować tamtej, z pewnością i ta ci za wzór nie posłuży.

— Któż ona jest? — spytał malarz.

— Jest w istocie uboga dziewczeczka, ale dumna, bojaźliwa i niedostępna.

— Znasz ją?

— Widziałam kilka razy... próżno mówić o tem... Nie ludź się darmo nadziej.

Starościna mówiła tak umyślnie, obawiając się, aby zarobek nie wyrwał jej z rąk ofiary; zaczęła opowiadać rzeczy nie bywałe, aby go odstraszyć, i przekonała go tak dobrze, iż Bacciarelli po półgodzinnej rozmowie odszedł nareszcie zafrasowany... przekonany, iż starałby się o to na próżno.

Wzdychał jako artysta nad utraconym ideałem, typem, którego z pamięci odtworzyć się nie spodziewał, a który pod pędem jego byłby tak cudownie zajaśniał.

Tegoż wieczora była kolacja u siostrzenicy królewskiej pani Mniszchowej, nie wielkie grono najwybrańszego towarzystwa... Bacciarelli, który właśnie był skończył portret króla dla gospodyni, przyjechał z nim razem. Rozmawiano unosząc się nad wyrazem smutku i łagodnej dobroci, który malarz twarzy Poniatowskiego nadać potrafił, gdy roztagoniony Bacciarelli, na widok nie młodej już ale pięknej jeszcze pani, wspaniałej postaci, wstał jakby rzucony sprężyną i pobiegł do jej krzeselka.

Osoba ta siedziała smutna i zamyślona w cieniu, nie wiele mieszając się do rozmowy; rysy jej twarzy regularne,

szlachetne, oblewała jednostajna marmurowa bladość, jakby z nich już życie uciekło.

— Mościa księżno — rzekł po cicho, schylając się przed nią i całując piękną jej rękę — Bacciarelli... chciałem się dziś pomścić jeżeli nie na WKSMości, to na księciu Wojewodzie... a! i to mi się nie udało...

— Pomścić? za co? — spytała obojętnie księżna.

— O! za wyrwaną mi królową Sabę...

— A! to stare dzieje... Ale jakąż być miała zemsta!

— Trafem, cudem... spotkałem dziś w ulicy... proste dziewczę... ubogie. Stała pogrążona w jakimś smutku, z załamaniem rękami. O mało nie klęknąłem przed nią w ulicy... Była cudowna, a tak, tak do WKSMości podobna... Może jej piękność nie miała tego blasku, jakim W. Ks. Mość wówczas jaśniała — ale rysy! też same! wyraz... osłupiałem!

Księżna z jakąś trwogą żywo odwróciła się ku niemu, usiłując próżno pokryć wzruszenie. Może nie bardzo była rada z tego porównania do ulicznej jakiejś piękności. Rumieniec lekki jak obłoczek prześliznął się po jej twarzy... niby promień zachodzącego słońca na marmurze.

— Prosta dziewczyna? — spytała — w jakim wieku.

— Może mieć lat około dwudziestu — rzekł Bacciarelli...

— O! i pewnie goniłeś pan za nią! — zawołała Wojewodzina.

— Przyznaję się do tej winy, ale na uczciwość w interesie sztuki zachwyciła mnie.

— No? i cóż się okazało?

— Że jest biedną sierotą, podobno bez ojca i matki; nieszczęśliwą, ubogą, pocziwą ale dumną i niedostępną... Nie ma sposobu, by za wzór służyć chciała...

— Możeś był waćpan ciekawy i o imieniu tej piękności się dowiedzieć? — spytała księżna obojętnie.

— A! jakże! imię ma piękne jak twarzyczkę — Helena...

Bacciarelli wymówił te ostatnie wyrazy spuściwszy głowę, usiłując sobie imię przypomnieć, i nie dostrzegł że księżna zbladła, zagryzła wargi, chwyciła flakonik z larendogą, a nieprędko potem jakoś uspokoiła się i odzyskała pierwszą swą obojętność.

— A! jak tu gorąco! — rzekła.

— W istocie duszno — odpowiedział Bacciarelli.

Była znowu chwilka milczenia.

— I gdzież się ta waćpana piękność ukrywa — spytała od niechcenia Wojewodzina.

— W lichym bardzo kącie, na Bielańskiej ulicy, w Paprońskiego domu na trzecim piętrze od tyłu... Mówią, że są w strasznej nędzy, a co gorzej...

— Co gorzej? — podchwyciła księżna ciekawie.

Bacciarelli schylił się do ucha.

— W tym samym domu mieszka ta Betina sławna, co to ją był wykradł synowiec księcia Wojewody... pan Podcza-



szyc — dzisiejszy... niebezpieczne to dla młodej piękności sąsiedztwo.

Księżna nic nie odpowiedziała.

— Jestże tak w istocie piękną? — zapytała później... jakby przez grzeczność dla utrzymania rozmowy.

— Nie przesadzam wcale, jest cudnie piękną, a dowód najlepszy, gdy do W. Ks. Mości mogłem i śmiałem ją porównać...

Wojewodzina uderzyła go wachlarzem po rękę.

— Stary pochlebco, nie plećże prosię...

— Wygląda tak dumnie, majestatycznie, poważnie, ma w sobie coś tak szlachetnego, iż sama sprzeczność ubioru z fizjonomią czyni ją zajmującą.

Wojewodzina zdawała się słuchać już mniej uważnie, Bacciarelli przestał, uklonił się i powoli odszedł; a wkrótce potem i księżna podniosła się z kanapy i wysliznęła po cichu.

### XXXV.

Wieczorem tego dnia jedna ze starych znajomych pana Paprońskiego, gospodarza domu, w którym mieszkała Ksawerowa, przyszła do niego w odwiedziny. Była to tak dawna znajomość i tak już jakoś przerwana latami, iż odnowienie jej zdziwiło niemal pana Paprońskiego. Ale że panna Babska była niegdyś u pańien Wizytek razem z jego żoną, a teraz rezydowała w bogatym domu i miała po świecie stosunki, Paproński posłał po sucharki i wystąpił z kawą na saskiej porcelanie. Mówiono o różnych rzeczach, panna Babska wpadła na ubogich, na obowiązki pomocy bliźnim, i starała się wywiedzieć, czy w domu p. Paprońskiego nie było jakiej rodziny w potrzebie... a bez ratunku.

Paproński gaduła wspomniał o Ksawerowej. Dziwnie się nią, jej losem zajęła ta dobra osoba... i wymogła na gospodarzu, by szczegółowo rozpytał co się tam dzieje, a potajemnie o tem ją uwiadomił.

Zdziwiła się niepomału Ksawerowa, gdy wieczorem tegoż dnia zaraz, niecierpliw Paproński wszedł do jej ubogiego schronienia. Było przyjaciół jej męża, dziś jej dobroczyńca... ale go się prawie ulękła, przewidując, że może o swą należność się upomnieć; a tej nie była mu w stanie zapłacić. Zarobek Heli ledwie na lekarza, na lekarstwa dla Julki i na jej wygody starczył; choroba nie ustępowała, owszem stan dziecka pogorszać się zdawał, a z nim rosły wydatki. Ze drzeniem więc powitała go, siadła ze łzawymi oczyma naprzeciw niego, i wprzód nim związał rozmowę, sama zaczęła go przepraszać za swą nieregularność.

— Ale to tam nic nie jest — rzekł Paproński — niech sobie jejmość tem głowy nie trudzi! Zapewne! ciężkie to czasy na właścicieli nieruchomości, i toćby się przydało... ale coś też i dla dobrych przyjaciół zrobić czasem potrzeba. Ja tu przyszedłem nie żebym uchowaj Boże — upo-

minał się o co — ale bym się dowiedział, co pani myślisz? jakie masz nadzieje? i czy zawsze idzie tak ciężko?

Biędna Ksawerowa łzy miała nie nadzieje, łzami mu też odpowiadała. — Nadzieja moja w Bogu — rzekła — a! i może w tym pocziwym człowieku, który nam do Wielkanocy kazał czekać na siebie. Wiosna się zbliża! cierpimy i czekamy! Zdaje się, że ten człowiek, którego nazwiska nie mam panu prawa powiedzieć, myśli o Heli... a ja... ja drzę na samo przypuszczenie, że ją utracić mogę.

Gospodarz rozpytywał dalej. Pani Ksawerowa nawet postrzegła, że jakiś w tem cel mieć musiał, którego jej domyśleć się było trudno. Wiedział on z dawniejszych czasów historję Heli i jej sieroctwa z odgłosu tylko... teraz bardzo szczegółowo badać począł i wymógł na wdowie, że mu ją opowiedziała. Nie była też ona tajemnicą. Uderzająca piękność dziewczęcia do pewnego stopnia to tłumaczyła — obudzała zajęcie wszędzie gdziekolwiek się pokazała.

— Jakże proszę jejmości? — spytał ciekawie Paproński, przy dziecku nie było też śladu, znaku, medalika... bo to zwyczajnie przecie.

— Żadnego — odpowiedziała Ksawerowa — oprócz imion Heleny Ludwiki, które z sobą przyniosła. Doktor mi oddał metrykę z kościoła św. Krzyża wydaną, poświadczającą, że tam ochrzczone zostało dziecię rodziców nieznanych, które babki i dziadkowie kościelni do chrztu trzymali, a dano mu imię Heleny Ludwiki... Bezimiennej.

Ze śmiercią doktora znikł wszelki ślad pochodzenia dziecięcia... tajemnica z nim zstąpiła do grobu.

Paproński słuchał, badał, zdawał się wszystko chcieć zapamiętać, i pocieszywszy lokatorkę a westchnąwszy kilka razy mocno... pokłonił się i wyszedł prosząc ją, aby się o zapłatę nie frasowała.

### XXXVI.

Puzonów nie przestawał śledzić wszystkie kroki tej, na którą wydał był wyrok, że musiała paść ofiarą. W chwili gdy Helena wychodziła z domu do kościoła księży Kapucynów, jeden z tych stróżów szedł za nią i pobożnie we drzwiach przy zdarzonej zręczności, zmówił parę zdrowasiek, gdy się staruszka rozpytywała. Czystym zyskiem dlań było, że modlitewkę pchnął do pana Boga i interes razem ziemski na tem nie cierpiał. Z kościoła poszedł za nią ulicą, był świadkiem jak ją lud otoczył, jak się Bacciarelli zadziwił, i za malarzem powoli wrócił na ulicę Bieleńską. Zdał więc raport szczegółowy, komu należało, o całej tej wycieczce, i ze spokojnem sumieniem poszedł na piwo.

Puzonów dowiedziawszy się o tem co zaszło, bardzo był nierad i niespokojny, w istocie objawienie się tej niepospolitej piękności człowiekowi takiemu jak Bacciarelli, który mógł nadać jej rozgłos... wcale mu było nie na rękę.



Malarz nadworny uchodził sam za wielkiego wielbiciela płci pięknej... a, co gorzej, za czynnego pomocnika różnych pokątnych pańskich miłostek. Wmieszanie się jego groziło niebezpiecznymi rywalami i zakłóceniem spokoju.

Puzonów nie życzył sobie walczyć ze współzawodnikami, obawiał się oczów ciekawie zwróconych na dom i kobietę, na jego czynności... przewidywał zawady, trudności a przynajmniej niesmaki. Jakkolwiek nie bardzo wstydlivy generał, wolałby być, żeby o tem ludzie nie wiedzieli. Teżoż samego wieczora więc wpadł do Starościny, kwaśny, podrażniony, żądając pospiechu i skarżąc się na wypadki.

Wszedł trochę wcześniej niż zwykle... Betina spała po obiedzie, przestraszył ją hałaśliwą intradą... przyczynił złego humoru, ale tak był zajęty sobą i swoim interesem, iż nawet nie przeprosił protektorki, a nie dawszy jej dobrze się przebudzić, począł od pytań gwałtownych.

— Co się dzieje? Dla czego ona wychodzi? Cemu Starościna nie pilnuje jej, a nie stara się przyspieszyć rozwiązania?

— Ależ to wymaga czasu! szalony, niecierpliwy człowiecze — odparła ziewając Betina — wy byście zawsze radzi jak najprędzej pochwycić, by jak najrychlej porzucić. Z nią otwarcie mówić nie można... trzeba ją powoli przysposabiać... lęka się wszystkiego... a dumna!

— Tak! tymczasem trafi się kto inny i porwie mi ją z przed nosa. A wiesz Starościno, że już zwróciła oczy na siebie... że już Bacciarelli za nią gonął... że będzie plół po całej Warszawie...

— I wiem i właśnie wam o tem mówić miałam — odezwiała się Betina... ale Bacciarelli był u mnie i taką mu dałam odprawę, że więcej nie wróci...

Jenerał chodził zżymając się, więcej w istocie zajęty i przejęty, niż się Starościna spodziewała, radził wynieść się z tego domu, chciał inne najmować mieszkanie i użyć pośrednictwa Betiny a za pretekst zdrowie dziecka... W istocie szło mu o to, by zwrócić na nią uwagę odebrać... Ale Starościna nie mogąc się sama wynieść, nie życzyła sobie translokacji, aby cała ta sprawa, której z rąk puszczać nie myślała, jej kierownictwu się nie wysliznęła. Wszystkie więc plany poszły w niwecz, a jenerał coraz gorzej się rzucał.

Narada, spór, kłótnia prawie trwały dosyć długo. Jenerał był natarczywy, rozkazujący, gotów na wszelkie ofiary, Betina w końcu zmięczona, przyrzekła mu zrobić, co tylko będzie mogła, aby rozwiązanie przyspieszyć.

Ale dnia tego Hela nie przyszła.

Zdrowie Julki pogorszyło się znacznie, posłano po lekarza, a ten przyciśnięty oświadczył otwarcie, iż dziecię zamknięte w kacie ciasnym, w powietrzu zgniłym wyzdrowieć nie może, że najgłówniejszym dla niej środkiem było słońce, wesele... swoboda... oddech świeży... pokarm zdrowy...

Obie kobiety usłyszały ten wyrok płacząc, z rozpaczą niemal matka, a Hela z trwogą, z wyrzutem sumienia, że ona jedna poświęcając siebie, zaradzićby temu mogła. Starościna co dzień jej to powtarzała.

Po wyjściu lekarza, głucha cisza panowała długo, milczenie przerywane westchnieniami przeciągnęło się do nocy... Hela nie zmrużyła oka w walce z sobą samą, z sercem, z myślami i sumieniem... Naprzemian to przywiązanie do nieznajomego Tadeusza... to obowiązki względem tej, co ją przysparzyła i wychowała — przemagały. Czuła się chwilami występna, upokorzona. Bez imienia, bez przyszłości, dziecię zaparte i opuszczone, mogłaż inaczej zawdzięczyć opiekunce, matce jej starania i miłość, jak szczęścia zrzekając się dla niej?

Łzami stłumionemi oplakawszy krótką nadzieję jakiegoś snu szczęścia... przekonana, iż ten człowiek o którym Starościna codziennie jej mówiła — ożenić się z nią może — postanowiła nareszcie... poświęcić siebie dla Julki, dla matki.

Cały plan tej heroicznej ofiary ułożyła w głowie... i nie usnąwszy na chwilę, rozgorączkowana, czekała tylko dnia białego, aby pójść do Starościny...

Postanowiła nie przyznawać się jej do powziętej myśli... ale jeźliby była nagłona, przystać na wszystko, zapewniając dla Ksawerowej i Julki los niezawisły.

Ledwie wybiła godzina, w której zwykle chodziła do Starościny, Hela pobiegła wykradłszy się... z oczyma jeszcze pracą i łzami zaczerwienionemi... a z sercem skrzwionem...

### XXXVII.

Starościna była niewiastą doświadczoną, oka jej nie uszło; postrzegłszy powieki nabrękle... twarz smutną... boleść na czole... niemal ucieszyła się czując, że wypadki w pomoc jej przychodzą i upór Heleny przełamają prędzej a łatwiej, niżby ona sama mogła. Stała się nader czułą.

— Cóż ci to jest moje serce? — spytała z troskliwością przyjaciółki.

— A! nie pytajcie — odpowiedziała Helena — wszystkie nieszczęścia na nas się spiknęły... Julka nasza coraz słabsza, usycha, więdnije... matka się we łzach roztapia, a tu żadnego ratunku... Do Wielkanocy tak daleko, dnie się dłużą, kto wie, czy dziecię wytrzyma! Doktor nakazuje zmianę mieszkania, powietrze, słońce... a w mieście i słońca darmo mieć nie można i powietrze opłacać potrzeba! Cóż my na to poradzimy, którym ledwie starczy, by o głodzie i chłodzie... jej pierwsze potrzeby zaspokoić...

Zalała się łzami, Starościna kiwała głową, a po chwili rzekła:

— Czemuż słuchać mnie nie chcecie! Bóg wie, co wam się roi w głowie... a ten człowiek, któremuście się tak



bardzo podobali, życzy wam dobrze, zrobiłby dla was wszystko... czemuż nie jesteś łaskawszą dla niego!

— Kochana pani — odpowiedziała Hela smutnie... — jakże tu siebie zwyciężyć! Nie wiem zkąd mi to uczucie przyszło, nie rozumiem go, ale od pierwszego wejrzenia wzbudził we mnie taki wstręt, taką obawę... mogę prawie powiedzieć takie obrzydzenie... iż go utaić nie umiem. Kłamałbym nie potrafiła... to nad siły.

— Co znowu za dziwactwa! Człowiek nie stary, przystojny... niezmiernie bogaty... Wszystko to pochodzi z tych marzeń o owym wiejskim romansie... który już czas było sobie wybić z głowy... to darmo, tamten nie wróci, a tego waćpanna utracisz...

Dotąd nie było mowy jakoś o pochodzeniu, o sieroctwie Heleny, Betina miała ją za siostrzenicę, słysząc że Ksawerową matką nazywa, ona nie tłumaczyła swego stosunku z nią, kochając istotnie jak matkę rodzoną. W tej chwili po raz pierwszy Hela dodała:

— Mam większe obowiązki dla matki przybranej, niż gdybym może była jej własnym dzieckiem.

— Jakto! przybranej? — spytała zdumiona Betina... alboż...

— Ja jestem sierotą... córką jej serca... dzieckiem bez imienia, bez ojca i matki...

Zdziwiona tem wyznaniem Starościna, przypadła z żywą ciekawością, rozpytując Helę, w nadziei, że i to się jej na coś przydać może... Badała więc troskliwie bardzo... Helena nie chciała tać nic, opowiedziała jej o sobie prawie wszystko, co wiedziała... co słyszała w domu, od matki... Płacz przerywał jej to opowiadanie...

— Tem bardziej ci teraz powiem — zawołała Starościna gdy skończyła — nie masz się co wahać... Wiesz jak na świecie wiele znaczy rodzina, pochodzenie... ty nie masz imienia, nie masz rodziny... nikt cię nie weźmie, każdy się cofnie przed tobą, jak przed zagadką, która się może kiedyś... Bóg tam wie, jak rozwiązać! Potrzeba korzystać z tego, że się ten człowiek rozkochał w tobie tak szalenie.

— Aleś mi pani mówiła, że on się ożenić nie może.

Betina w duszy uśmiechnęła się z naiwności dziecięcej Heleny, ruszyła nieznacznie ramionami.

— Moja droga — dodała — żyłaś zamknięta, nie znając ludzi ni świata, nie rozumiesz nawet jak sobie postąpić... Cóż to znaczy, że ożenić się nie może? gdy się zakocha... będzie musiał. Ja com przez wiele nieszczęść przeszła, wiele też nauczyć cię mogę... Pozwól mu się zbliżyć, nie odpychaj... daj mu lub pozwól się domyślać nadziei... rozkochaj do ostateczności, do szaleństwa... a wówczas bądź pewna... ożeni się.

Cała ta nauka niezrozumiała była dla Heleny, dla której na świecie jedna tylko prosta droga... istniała.

— Pani moja — rzekła po namyśle — na to potrzebaby chyba innej niż ja istoty... jabym nie potrafiła... mając

wstręt do człowieka, co innego mu nad to uczucie pokazać. Kłamać choćby mi umrzeć przyszło — nie potrafię — a! to... to nad siły... Ja nie umiem nic udawać... i przebac mi — ale znajduję to niegodnem siebie...

— No! to gińcież z głodu! — przerwała Starościna żywo, prawie obrażona — na to tedy rady nie ma... nie mówmy więcej o tem.

Przeszła się kilka razy po salce i dodała — Wstręt! przecież wstręt rozumem można zwyciężyć, gdy się uroi bez żadnej przyczyny... Dla czego masz więc wstręt do człowieka, który nań nie zasłużył? to dziwactwo!

Pozwól mu się zbliżyć, lepiej go poznaj, to przejdzie; sto w życiu widziałam takich przykładów wielkich wstrętów, kończących się miłością szaloną; wstręt! — powtórzyła... to zawsze lepiej niż obojętność...

Helena płakała milcząca, Starościna nie zważając na lzy, starała się jej wmówić to obowiązki dla przybranej matki, to konieczność skorzystania ze szczęścia, które się raz trafia w życiu...

Rozeszły się wreszcie, ale Hela wyszła złamana, zmęczona, co gorzej zachwiana, na pół się czując zwyciężoną.

Wieczorem miał być jenerał, który oznajmił swe odwiedziny nie bez celu... Starościna wybiegła, wywołała Helę, zmusiła ją by przyrzekła przyjść.

Była to wielka wygrana, krok stanowczy, znak że się uznawała złamaną. Starościna nie mogąc ukryć z niego radości swej, uściskała ją, okryła pocałunkami, pochlebstwy, dając znać Puzonowi, iż skłoniła ją do przyjścia.

— Podziękujże mnie — zawołała śmiejąc się — gdy wszedł... Teraz, po tem co ja zrobiłam, reszta już od was samych zależy. A! ale mnie to dziś pracy kosztowało, o mało nie oszalałam z upartą dziewczyną... Na szczęście wasze, dziecko u nich coraz słabsze, biada coraz większa. Ona przybita... Tylko nie obcesowo mój jenerale, bo wszystko popsujesz. Nie płosz jej, staraj się ująć... nie po moskiewsku — bądź na ten wieczór Paryżaninem, jak to być umiesz gdy zechcesz... Ja was tu chwilami samych zostawiać będę...

Jenerał był uszczęśliwiony z uczynienia postępu i całował rączki Starościnej.

— Jednak nie życzę się ludzi — dodała — rzecz nie łatwa, bo dziewczyna dziwnie naiwna, nie rozumie miłości bez małżeństwa... pojęcia nie ma innych stosunków, tylko urzędownie pobłogosławionych przez księdza... uprzedzam i życzę o tem pamiętać.

— Starościno kochana — przerwał Puzonów — to już moja rzecz... Na to są sposoby... są przypadki... obietnice... a zresztą... chwile... tego naprzód przewidzieć nie można, a na wszystko gotowym być potrzeba... Zostawcie mi resztę...

Starościna powtórzyła chłodno:

— Zostawiam wam resztę! Tak... ja umyвам ręce... mieszać się nie będę, a jeżli popsujecie... nie naprawię...



Jenerał, który prawie nie znał Heleny, a znajdował ją w towarzystwie Starościny ubogą, zgnęaną położeniem, wyobrażał sobie w istocie, iż los mu ułatwiał miłości, które powinny były pójść snadno. Z tych kobiet, które dotąd widywał w swem towarzystwie, nie przypuszczał, by biędna dziewczyna mogła mieć więcej szlachetności, mocy ducha i charakteru, niż piękne panie tak prędko dające

Czekał niecierpliwie na Helenę.

Przyszła ze śladami łez na twarzy, milcząca grobowo, poważna... W duszy jej ofiara wielka była już uczynioną, choć całej rozciągłości jej nie obrachowywała. Myślała tylko, że będzie zmuszoną oddać swą rękę człowiekowi, którego nie kochała... wyrzec się tego, dla którego biło serce. Nie przypuszczała nawet, nie rozumiała innego in-



Ojciez mój — rzekła po cichu — nie jestem przygotowaną do spowiedzi... (str. 106.).

się ułagodzić... Wyobrażał sobie wszystkie kobiety słabemi i płochemi; według jego planu potrzeba było naprzód użyć pochlebstwa, potem ująć wspaniałością i darami, na ostatek ośmieloną opanować przemocą i zdradą... Dalej nie sięgał ani sercem, ani domysłami, szło mu o zaspokojenie dzikiej fantazyi tylko.

trydze końca, jak łzawą ofiarę i przysięgę... Było to zapredanie się ale pocziwie... pracowała tylko nad sobą, aby łez, poświęcenia, wewnętrznej męczarni nie pokazać przed wdową.

Raz postanowiwszy to, — opłakawszy nadzieje... szukała się do przeżycia przyszłości... (C. d. n.)



# PRZEBUDZONY.

Włosy ściągnąłem na brwi,  
Oparłem głowę o głaz  
W ciemnej ukryty jaskini;  
Nie jeden trąca mnie płaz  
I pyta: Czy ten lew spi?  
Czy zmarły? Nic nam nie czyni —  
Wesoło w naszej pustyni!

Ktoś inny woła: Spiesz!  
Tam lwięta w sojuszu bratnim  
Płasają z szakalami,  
Na wspólny wychodzą łup —  
Tyś naszym lwem ostatnim!  
Tyś jeden został z nami —  
Do zdrożnych przemów rzesz,  
Pokaż się — porządek zrób! —

I słyszę w pobliżu gwar:  
— Minął czas ułud i kar,  
Szalone zginęły lwy,  
A na czele teraz — my!  
— Wnet pójda zmartwiałe dusze  
Pod nasze berła pastusze.  
— Chrystusowej Polski żłobek  
Przedaliśmy za zarobek.  
— Z ruin świątyni przez pracę  
Wyrosną dla nas pałace!

.....  
A do takich sprośnych głosów  
Przyplątał się szept niewieści:  
Co za obraz smętno-dziki!  
Powietrze pełne niebiosów —

Księżyc srebrem aż szeleści —  
Po laurach płaczą słowiki —  
Na grobach hyenna szczeka.  
Gdybyż teraz, a zdaleka,  
Wmieszał się w te ciche tony  
Ryk lwa groźny, przytłumiony,  
Jakżeby to było ślicznie!  
Romantycznie i drastycznie...

Zrozpaczony, na głaz twardy,  
W pokutnym skłębiony dole,  
Wszystkie przecierpiałem bole  
I najsroższy ból — pogardy.  
Bez nadziei zmartwychwstania  
Chciałem tak przejść w sen konania;  
Lecz te głosy ciąglým zwrotem  
Uderzają na mnie grotem,  
A on moje wnętrze kraje,  
W milczeniu umrzeć nie daje —

A więc wstaję!!  
Wyciągam ścięgi nóg,  
Na skalny skaczę próg,  
Wichrami grzywę maszczę,  
Sto gromów wziętem w paszczę —  
Chcieliście!

Słyszycie ryk?!  
On wam zamrozi szpik,  
On wasze kości przewierci —  
Bo on wam zwiastunem śmierci!

Galicja 1867 r.

*Iri.*

## NOTATKI WĘDROWCA Z MUSU.

### I.

### MARSYLIJSKIE ŻEBRAKI.

KRONIKA NOWOŻYTNA Z 1810 R.

„Lepiej być żebrakiem, ale żebrać z enotą...”

Krasicki.

„Niech uczciwym sposobem nabywają chleba, nie żebraninę, jako i ci biegunowie, co to je widujecie zawsze w Częstochowie, w Kalwarii i przy każdym kościele: wszystkim tym robić kazać...”

Starowolski. Votum o naprawie Rpltej.

### WSTĘP.

Byłoto w Marsylii, pod koniec jesieni 1837 r. Deszcz padał od trzech dni; szare chmury zawisły nad miastem

Zesz. IV.

i osłoniły piękny lazur południowego nieba. Wyjść było nie podobna. Z nudów poczułem się do obowiązku grzeszności względem pocziwca, który mi schludny i wygodny



pokoik z mieszkania swego odnajął. Mój gospodarz przedstawiał doskonały typ francuzkiego mieszczanina, w pierwszej połowie bieżącego wieku, po wielkiej rewolucyjnej burzy, która tak wielki wpływ na porządek społeczny nie tylko Francji, ale i całej Europy wywarła. Trochę rewolucjonista, trochę Bonapartysta, bo Wolter był u niego największym filozofem, jak Beranżer największym w świecie poetą; a przytem żarliwy zwolennik króla-obywatela, na którego cześć, we wszystkich familijnych ochotach, po trzeciej szklance intonował powszechnie znaną zwrotkę pieśni: „*Soldat du drapeau tricolore...*“ Zbogaciwszy się w handlu korzennym, sklep swój oddał synowi, córki wyposażył, a sam z domowego czynszu i z procentu od zaoszczędzonego kapitaliku, ciche i niezależne sobie zabezpieczył życie. Zresztą towarzyski, gadatliwy, uprzejmy, grzeczny i usłużny aż po kieszenie. Znalazłem go w szlafroku, z aksamitną czapeczką na głowie, wygrzewającego się przy kominku i czytającego ulubiony swój Dziennik rozpraw. Po trzech sakramentalnych frazesach, wyrzeczonych w przyzwoitych przestankach, ktorými każdy dobrze myślący Francuz współczucie swoje dla naszej sprawy nawiedzającemu go Polakowi objawiał: „*Couvrez-vous — Chauffez-vous — Il faut esperer, que Vous rentrerez bientot dans Votre pays*“ — zaczęła się luźna pogadanka, przeskakująca z przedmiotu na przedmiot, o dokuczliwej słoć, o tegorocznym zbiorze oliwy i wina, o gwardyi narodowej i wyborach do rady miejskiej; przeszliśmy do wyrzekań na ciężkie czasy i na mnożące się coraz więcej żebractwo w Marsylii. „Ciężka to społeczna plaga — mówił mój gospodarz — na którą skutecznego dotąd nie wynaleziono lekarstwa, chociaż nie mało nad nią radzono i nie mniej pisano. W mojej młodości, za Cesarstwa, mieliśmy w radzie miejskiej nieoszacowanego człowieka: zamożny obywatel, człowiek bystrego umysłu, żelaznej woli i szczery a światły filantrop. Dzięki jego niezmordowanej usilności, osobistemu poświęceniu i rozległym stosunkom, przerzedziło się w Marsylii żebractwo. W r. 1810. otworzono dom przytułku i pracy w Aix, do którego zapędzano wszystkich żebrzących włóczęgów. W r. 1812. zbawienny ten zakład zdał się niepotrzebnym, zamieniono go na koszary. Za Restauracyi osadzono w nim Jezuitów. Po wypędzeniu Jezuitów z Francji przywrócono koszary, i te dotąd istnieją. Żebractwo wróciło wkrótce do praw obywatelstwa w Marsylii; zakwitło nanowo, a raczej zaroiło się jeszcze więcej niż dawniej. Młody mój krewniak M. M... napisał ciekawą o tem kronikę; mogę panu powierzyć rękopis, pod warunkiem, że z niego użytku nie zrobisz.“ Uszczęśliwiony tak szacownym na rozpędzenie czasowej biedy nabytkiem, pożegnałem usłużnego mego gospodarza. Czy pan M. M. rękopis swój wydrukował, nie wiem; ja w tak wielkiej odległości i miejsca i czasu, puszczając go w obieg, nie sądzę,

izbył przez to wielką autorowi, jeżeli ten jeszcze żyje, krzywdę wyrządził.

Pisałem we Lwowie 1868 r.

Wieczorem, 17. Listopada 1810. r., właśnie kiedy zegar wieży akulejskiej (*des Accoules*) wybijał piątą godzinę, stary żebrak schodził z ulicy Aix, zatrzymując się za każdym krokiem przed licznymi sklepami, wybrzeżającemi tę ulicę, jedną z najhandlowniejszych i najwięcej ożywionych w Marsylii. Wszystko okazywało, że ten żebrak dopiero co przybył do miasta; łachmany jego okryte były kurzawą, podobnie jak liche skórzane kamasze, ściągnięte sznurkami w braku guzików; obszerny kapelus, jak zwykli nosić pasterze Prowancyi, okrywał białe włosy i pomarszczone czoło; rysy twarzy regularne i szlachetne, przybrały wyraz prostoty, dobroduszości i cierpienia. Jedną ręką wspierał się na mocnym orzechowym kij, drugą wyciągnął dla odbierania jałmużny, którą wpuszczał w płócienną torbę, przewieszoną przez lewe ramię.

Bez wątpienia nie miał powodu użalać się na brak ludzkości w Marsylczykach; torba jego napełniała się szybko kawałkami chleba, owocami i soldami<sup>1)</sup>; nie mniej jednak powtarzał ciągle niezmienny swój frazes: „Dla miłości Pana Boga, dajcie co ubogiemu na kupienie chleba!“

Doszedłszy do końca ulicy, przestał żebrak, przyspieszył kroku; przebiegł ulicę Noailles i zatrzymał się na placu tegoż nazwiska przed okazałym pałacem. Lokajstwo, siedzące przed bramą, gwarzyło z głośnym śmiechem, używając swobody jednodziennego *farniente*, które im nieobecność pańska zostawiła. Starzec przybliżył się i poprosił o jałmużnę. „Niech Bóg opatrzy!“ — rzekła służąca. — „Nie ma tu nic dla ciebie“ — dołożył lokaj, zmierzyszy zuchwałem okiem żebraka. Żebrak, niezmieszany odmówieniem, prośbę swoją ponowił. „Już ci raz powiedziano, że nic nie ma — mruknął stangret. Co u djabła, że teżto w tem przeklętym mieście nie można się opędzić włóczęgom, próżniakom! Daj nam pokój pocziwczcie!“ — Żebrak oddalił się zwolna. Zuchwałość i nieużytość lokajstwa nie musiały go oburzyć; wyraz zadowolenia przemknął się po jego twarzy. „Wybornie! — rzekł sam do siebie — nikt mnie nie poznał!“

O kilka kroków od pałacu, zachodzi mu drogę człowiek z bractwa żebraków. Człowiek ten włókł się na kulach, a głowa jego obwiązana była szeroką szmatą, która mu na jedno oko spadała.

— Bracie — rzekł kaleka — musiałeś niedawno przybyć do naszego miasta, inaczej nie byłbyś się trudził wyciąganiem ręki do ludzi tego przeklętego pałacu. Niech go tam pion run spali!

<sup>1)</sup> Moneta zdatkowa: sou — pięć centów — dwudziesta część franka.



— Prawdę mówisz — odpowie starzec — dziś dopiero wieczór przyszedłem do Marsylii. Jestem ubogi wieśniak z okolic *Sains-Maximin*, powszechny nieurodzaj zmusił mnie do żebractwa.

— Tem lepiej dla ciebie; w naszym stanie żniwo jest zawsze dobre.

— Jużem tego doświadczył po części; spojrzysz na moją torbę, nie byłbym jej pewno tak naładował, gdybym był tylko trafiał na domy, podobne do tego pałacu. Ale jeżeli bogacze zaciskają rękę przed ubogim, to znowu lud, jak się zdaje, jest bardzo dobry w tem mieście.

— Oh! lud jest wyborny! — zawołał kaleka z uniesieniem — to lud wybrany od Boga; gotów sobie wyjąć chleb z gęby, żeby go nam oddać. I bogacze byli nie źli, jak mi Bóg miły! dopóki ten łotr *Dessullamarre* nie nabił sobie tem głowy, żeby z nami wojować. Tento psi szlachcic mieszka w tym pałacu. Wystaw sobie, że jak się tylko Rada miejska zbiera, on zaraz trąbi wszystkim w ucho tysiące niegodziwości na nas; sprzedaje nas za próżniaków, hultajów; według niego, trzebaby nas wszystkich pozamykać, albo z miasta wypędzić.

— Zły to bogacz; Bóg mu nie pobłogosławi — rzecze dobrodusznie starzec.

— Czy dasz wiarę — mówił dalej kaleka, podrygując na kulach — czy dasz wiarę, nie ma jeszcze trzech tygodni, jak śmiał żądać od nich pieniędzy na zbudowanie domu przytułku, w którymby nas zamknęto, jak złodziejów, i zmuszano do pracy, jak galerników. Szczęściem nikt go nie usłuchał. Ale wszystkie takie gadaniny oziębiają diabelnie bogaczy i jałmużna nie przychodzi już tak łatwo, jak dawniej.

— Co do mnie — mówił stary nowicjusz, ogryzając kawał chleba, wyciągniony z torby — jabym się może i nie gniewał, gdyby był taki dom, jak ty powiadasz; mnieby się to podobało dosyć, żeby mnie przyjęto do domu przytułku, gdziebym znalazł zarobek i dobrą strawę i wygodne posłanie, zamiast wyciągać rękę po ulicach, w największe słoty, i to jeszcze bez żadnej pewności, czy będę miał co przekąsić wieczorem.

— Milczałbyś lepiej, a nie bredził — przerwie kulawy, wstrząsając głową z politowania. — Widać dobrze, że się nie znasz na rzemiośle. Jak się poznasz lepiej z Marsylczykami, i ty zmądrzejesz, dalibóg! Dziś jeszcze muszę cię nawrócić... czyś bardzo strudzony?

— Nie bardzo — odpowie starzec.

— Idź więc ze mną; ksiądz *Rippert* ma mieć właśnie kazanie u Dominikanów; będzie mówił dzisiaj o miłosierdziu; dowiemy się nie wszedłszy do kościoła, czy mu się udało kazanie. Zaprowadzę cię potem do naszego *retirado* <sup>1)</sup>

do naszego Dworca cudów (*Cours de Miracles*) <sup>2)</sup>, jak powiada ten zbój *Dessullamarre*.

— Niech ci Bóg stokrotnie za to wszystko płaci!

— Amen — przydał kaleka; nie narzekajmy na Pana Boga, jeszcze z niego nie najgorszy djabeł.

Wyrzekłszy ten żart niezgrabny i bezbożny, kaleka zaśmiał się głośno; starzec utulił w sobie wrażenie, jakie na nim to bluźnierstwo sprawiło.

Tak rozmawiając przeszli ulicą drzewną (*de l'arbre*) i doszli do starego miasta. Stary nowicjusz, wiedziony przez swego usłużnego kolegę, zapuścił się w labirynt tysięcy brudnych i ciemnych uliczek, składających pierwiastkową Marsylię; brnąc blisko kwadransa w wiecznym błocie, zatapiającym bruki tej obrzydliwej części miasta, dostali się przecie na mały nieregularny plac, ocieniony kilku wiekuiestami wiazami, w głębi którego ukazuje się posępna wystawa dominikańskiego kościoła. Niemalę grono żebraków skupiło się już przy drzwiach kościoła, oczekując na koniec służby bożej i wyjście pobożnych, a spierając się z hałasem o najlepsze miejsca w ciasnym przedsionku świątyni.

— Pójdź tędy — rzekł kulawy do swego towarzysza — nie stawajmy tuż przy drzwiach; wolę ja przebierać w ciż-

<sup>2)</sup> *Cours des Miracles* nazywano w średnich wiekach uprzywilejowane siedliska żebractwa i wszelkiego hultajstwa, a to w najciaśniejszych i najplugawszych częściach miasta; nazwano je zaś tak dla tego, że mieszkańcy tych otchłani występku, wstępując do nich, zrzucali z siebie wszystkie przybory odgrywanej roli. Ślepy otwierali oczy, kulawi prostowali nogi, paralitycy wyciągali ramiona, każdy do swego przyrodzonego stanu powracał. Wiadomość o tych Dworcach cudów w Paryżu podał Dulaure w VII tomie dzieła swego „*Histoire physique, civile et morale de Paris*,” a Henryk Sauval, autor starożytności paryzkich, za Ludwika XIV, tak opisuje jeden z tych podówczas jeszcze istniejących Dworców: „Żaden komisarz policyi, żaden urzędnik sądowy nie mógł się wcisnąć w te kręte i plugawe załulki, bez narażenia siebie na obelgi i guzy. Zagnieżdżone tu hultajstwo żyło z grabieży, tuczyło się w próżniactwie, obżarstwie i zbrodniach wszelkiego rodzaju. Każdy tu, bez troski o swoją przyszłość, używał chwili obecnej, przejadając wesoło wieczorem to wszystko, co przez dzień cały z wielkim trudem i nieraz kosztem swojej skóry zarobił; bo nazywano tu zarobić, co się powszechnie kraść zowie; a jedną z kardynalnych zasad Dworca cudów było, żeby nie na jutro nie zostawiać. Swoboda, a raczej rozpusta, żadnych tu nie miała granic; nikt w nie nie wierzył, żadnego nie uznawał prawa; nie znał ani chrztu, ani ślubu, ani sakramentu. Pozornie zdawałoby się, że przynajmniej jednego wyznawano Boga; jakoż na wstępie do Dworca była zwykle wielka framuga, z obrazem Boga Ojca, który zapewne w jednym z kościołów skradziono; przed tym obrazem codziennie wymrukiwano jakieś pacierze.”

Te stowarzyszenia lotrostwa miały swoje tradycyjne prawa i właściwy sobie język, tak zwany *argot*; co większa miały swoją hierarchję i naczelnika, który podobnie jak naczelnik cygański, koczrem (*Coesre*) był zwany.

<sup>1)</sup> Zamiast *retraite*, schronienie.



bie, niż do całej ciżby przemawiać, tym sposobem człowiek mniej traci słów i czasu; indywidua lepsze są od mas, powiada jeden uczony z naszego bractwa, którego ci pokażę dzisiaj w *retirado*. Przekonasz się sam niebawem, że pod tym względem przynajmniej ma słuszość.

Wkrótce też otworzono główne drzwi kościoła i tłum cały wylał się na plac z hukiem tysiąca głosów, nad którymi górowały piski żebraków, czepiających się natrętnie osób, nie dość prędko sięgających do kieszeni. Kulawy nie okazał się ani mniej żwawym, ani mniej natrętnym w tej żebrackiej napaści. Zbyt on dobrze znał swoje rzemiosło, aby nie miał wiedzieć, że natręctwo skuteczniejsze jest często od prośby. Starzec, acz mniej obeznany z wybiegami rzemiosła, uzbierał przeciw dość sporą garstkę *soldów* i *liardów* <sup>1)</sup>.

Gdy się tłum przerzedził, obaj towarzysze zeszli się z sobą.

— I cóż — rzekł kulawy — jakże ci się zdaje kaznodzieja? Czy kontent jesteś z kazania?

— Prawił jak apostoł — odpowiedział stary, wpadając na ton żartobliwości *truanda* <sup>2)</sup>. Zaczynam wierzyć jak ty, że w tem mieście niezgorszy jest stan żebraka.

— Mówiłem ci dobrze, że dziś wieczór jeszcze nawrócisz się i obrzydzisz sobie te domy przytułku... Dalej, spieszymy do naszego *retirado*... pewny jestem, że cuda, jakie tam znajdziesz, dokonają twojego nawrócenia.

Gwarząc podobnie zapuścili się powtórnie w czarne, kręte i nierówne uliczki, krzyżujące się, mieszające, plątające jak kłębek nici pod łapą kota. Ciemność powiększała się co chwila; sklepy, których blade i wątpliwe światło tu i ówdzie słabe ciskało promyki, zamykały się jeden po drugim i pogrążały w zupełnej ciemności ulice, nieuposażone jeszcze podówczas zbyt kosztownem dobrodziejstwem oświetlenia. Liczba przechodniów przerzedziła się bardzo i jeden drugiego z nieufnością pomijał, ocierając się ile możliwości o domy i bramy, ażeby w przypadku napaści prędką mógł pomoc wywołać.

— Daj go katu! — zawołał nagle kulawy po chwili milczenia — gdybym kiedy wieczór pochwycił w moje ręce, w tych zakątkach, tego zbója *Dessullamarra*!

Starzec zadrżał; ale ciemność nocy ukryła wyraz jego twarzy, mogący obudzić dziwne podejrzenia w umyśle kulawego towarzysza. — „No, no — rzecze od siebie —

nie mówmy tak kolego; bądźmy biedni, ale uczciwi. Wyciągajmy rękę, ale nie zabijajmy nikogo.“

— Nie! nie! — odrzekł drugi z gniewem — kiedy sobie pomyślę, że lada dzień przyjdzie nam może porzucić to błogosławione rzemiosło i opuścić to miasto, prawdziwą opatrność dla ubóstwa, jeżeli nie chcemy, żeby nas zamknięto, jak na galerach, których *arguzyny* <sup>3)</sup> kijemby nas napędzały do roboty, a to dla jednej nędznej zupki z przegniłą fasolą... kiedy sobie o tem pomyślę, kolego... chęćka mnie bierze połamać moje kule na grzbiecie tego psa radzcy miejskiego!...

— Ale, ale mówiąc o kulach — odezwie się starzec, pewnie dla odwrócenia rozmowy, której przedmiot jak widać, nie bardzo mu przypadał do smaku — co to jest, że od kwadransa nie słyszę już twoich kul, czyś je porzucił?

— Bynajmniej — niosę je na ramieniu — do woli broń!

— Nie jesteś tedy kulawym? — zapytał stary żebrak z wyrazem wielkiego podziwienia.

— Nie więcej kulawym, jak ślepym — odpowiedział towarzysz, śmiejąc się z szczeroty starca — wszakżem cię uprzedził, że będziesz widział cuda. Mogłbym się być zrobić czem innem, paralitykiem albo niemową; wolałem zostać jednookiem i kulawym; to mniej utrudza a przynosi dosyć. Zresztą zobaczysz jeszcze nie mało...

— A czy daleko jeszcze iść mamy?

— Ze dwadzieścia kroków... Widzisz tu obok ten sklepik oświecony, jest on w rogu naszej ulicy, sławnej ulicy drabiaskiej (*de l' Echelle*). Ten sklepik, dotąd otwarty, to szynk ojca *Tonina*. Bądź spokojny, nie zamknie on swoich drzwi, dopóki wszyscy nie wrócimy do *retirado*. *Tonin* żyje z nas; co mówię żyje — z bogaca się! Wiadomo bowiem, że sakwa jego tak się już wydeła, jak brzuch pocziwca; a przecież utył on tak bardzo, krzycząc po ulicach, że umiera z głodu, że głód mu pracować nie daje. W końcu przestano mu już wierzyć.

— Radbym go poznać — powiedział starzec — wstąpmy do ojca *Tonina*, weźmiemy kilka butelek *kasysu* <sup>4)</sup>, chcę cię uczęstować dzisiaj; słuszna, abyś i ty korzystał z *soldów*, które wpadły do mojej sakwy, zacny kolego.

— To się nie odmawia — rzekł ex-kulawy — a przy tem będę też musiał odwilżać sobie gardło, tłumacząc ci tajemnice naszego rzemiosła, bo o ile miarkuję, nie znasz ich wcale.

Weszli tedy do sklepu *ex-truanda*. Kilku żebraków rozłożyło się w około stołu, wysuszając częste dzbany za zdrowie łatwowiernych, których w ciągu dnia wywiedli w pole. Ojciec *Tonin* pomagał im i do konsumacji zagrzewał. Powstał, ujrawszy przychodniów, i postąpił ku

<sup>1)</sup> Mała moneta miedziana wartości trzech denarów. Trzeba było cztery liardy na jeden sold.

<sup>2)</sup> *Truand* — wisus, włóczęga, żebrzący z próżniactwa. W starej francuszczyźnie *truanderie* oznaczało żebractwo. „On sait que le mot *truanderie* indique l'action de demander l'aumône“ Dulaure w *Historyi* Paryża.

Jak dalece żebractwo rozrojone było w Paryżu, dowodzą nazwiska ulic: *Grande-Truanderie* i *Petite-Truanderie*.

<sup>3)</sup> Niższy urzędnik policyjny na galerach, dozoruujący więźniów.

<sup>4)</sup> Wódka nalana na czarne pożyczki — *Cassis*.



nim, usiłując nadać ogromnej swojej masie ruch swobodny i skaczący.

— He! *Adieusias* <sup>1)</sup> — bracie *goj*! <sup>2)</sup> — krzyknął do kulawego z rubasznym śmiechem, przykutym niejako do jego szerokiej twarzy. I cóż? Jakże się nam powiodło dzisiaj? Czy zasiądziecie razem z kolegami? A z jakiego czopka pić będziesz?

— Nie, nie, dziś wieczór nie wychylę mojej *miegio* <sup>3)</sup> z tobą, mój gruby *mouart de fam*! <sup>4)</sup> Przyprowadzam ci nową znajomość; daj mi cztery butelki najlepszego twego *kasysu*; a zrób tak, żeby nie był ochrzczony... jeżeli możesz.

— Ochrzczony? Drwisz sobie! — wykrzyknął gruby szynkarz — Czy masz mię za takiego łotra, żebym miał braciom, kolegom, przedawać wodę za wino! — Weźno to, bracie *goj*; a jutro powiesz mi, co o tem sądzisz.

Wepchnął butelki w torbę starca, który wypłacił mu monetą wszelkiego rozmiaru, począwszy od *liarda* aż do *dwu-soldowej* sztuki. Poczem obaj żebracy klasnęli w rękę grubasa, przyrzekając, że powrócą nazajutrz i wyszli z szynkowni.

Zwrócili się na bok i weszli w uliczkę ciemniejszą i ciaśniejszą od tych wszystkich, które dotąd przebiegli. Bruk powleczonej był grubą i tłustą warstwą przegniłej słomy, ulegającej pod nogami, a wydającej z siebie wilgotne i smrodliwe wyziewy. W pewnych odległościach, przeciągnięte w górze przez ulicę belki podpirały obu końcami porysowane domostwa, chylące się od starości i gotowe zetrzeć się z sobą dachami, gdyby je ta podpora nie utrzymywała w jakiej takiej równowadze. Te rudera, wysokie lub niskie, wyskakujące naprzód, lub wtłoczone między inne, przebite były otworami wyszczerbionymi i powiększającymi się codziennie, przez wymknienie się jakiego kamienia; byłyto drzwi i okna owych domów, drzwi bez żadnej zapory i okna bez szyby. Głęboka cichość panowała w uliczce, bo kroki *truandów*, ściągających się do swojej tajemniczej jamy, przygłuszone były dywanem z gnoju, wyścielającym drogę.

— Otóż jesteśmy na miejscu — rzekł niespodzianie kulawy, zatrzymując się przed ciemną sienią w pośrodku ulicy — Trzymaj się za poję mojej sukmany i postępuj ostrożnie. Ludzie nasi zapomnieli oświecić schodów, ale to im się zdarza każdego wieczora, dla większej oszczędności. Idź zwolna i strzeż się, żebyś nie napoił muru *kasysem* ojca *Tonina*.

Starzec nie bez widocznego uczucia wstrętu i bojaźni, zapuścił się w to ciemne przejście, gdzie towarzyszył jego

szedł krokiem śmiałym i pewnym. Zeszli potem ze dwadzieścia kamiennych stopni poszczerbionych, spadzistych i krętych, drzwi otworzyły się przed nimi i znaleźli się w środku Dworca cudów.

Byłato niezmierna, nisko sklepiona piwnica, utworzona z połączenia piwnic pięciu czy sześciu domów, piwnic podchodzących pod ulicę. Kilka lamp żelaznych, utkwionych w murze, połyskiwało czerwonaświatłem długich knotów, zatopionych w tłustości. Po nad gasnącym ich płomykiem snuły się czarne smugi dymu, skupiające się w grubą chmurę, wiszącą pod sklepieniem piwnicy, którą nierównie lepiej oświecały sosnowe łuczywa, trzeszczące w ognisku obszernego komina. Szerokie, nadpróchniałe deski, wsparte na kozłach, stare zydle sosnowe, ze dwadzieścia krzeseł koślawych z wydartem opleczeniem, składały cały sprzęt tej otchłani. Wielka liczba *truandów*, *truandek* i obszarpanych dzieci była zebrana w piwnicy, kiedy nasi dwaj żebracy nadeszli. Kobięty i dzieci, stulone przed ogniskiem, wlepiały pożądlivy wzrok w ogromny kocioł, już kipiący, naładowany jarzynami i mięsiwem. Mężczyźni, pozawieszawszy na gwoździach swoje kule i inne przybory dziennego kalectwa, zasiadali w około stołów; jedni ryczeli cyniczne piosnki, zalewając się winem; drudzy rozgrywali między sobą w karty pieniężne kwoty, o którebyś ich nigdy nie posądził. Każdy wynagradzał sobie całodzienny przyratuszek odegranej roli, według swojego nałogu albo namiętności. Tu tylko, odrzuciwszy maskę nędzy, ukazywali się takimi, jakimi byli w istocie: ohydni występkami, bezbożnością, próżniactwem.

Zaledwie dwaj żebracy weszli, wszystkich oczy obróciły się z ciekawością i podejrzeniem na nowego przybysza.

— Bracia! — rzekł kulawy — przyprowadzam wam towarzysza, prawdziwego nowicyusza, choć mu już szron brodę przypruszył. Przychodzi on kształcić się na naszym dworcu; spotkałem go, jak wyciągał rękę przy bramie naszego zbója, radzcy miejskiego.

— Niech żółta febra zadławi tego psa arystokratę! — wrzasnęli *truandy*.

— Amen! — przydał kulawy — niech piorun spali jego pałac! To nasza poranna i wieczorna modlitwa.

Nasi przybysze siedli przy stole, nieco opodał od całej czeredy. Starzec wydobył z torby butelki ojca *Tonina* i często dolewał towarzyszowi. Ten wywiedziony do gadulstwa i własną skłonnością i działaniem trunku, rozwijał przed starcem wszystkie tajemnice swojego podłego rzemiosła, przerywając powieść swoją wykrzyknikami na pochwałę *kasysu* i uczciwości grubego szynkarza.

— Przyznajże sam, stary kolego — mówił — czy jest jakie rzemiosło tak dobre jak nasze. Kiedy wyrobnik krzyże sobie wyłamuje, pracując piętnaście godzin na dzień, żeby zarobić nędzne dwa albo trzy franki: my, nic nie robiąc,

<sup>1)</sup> Dajgo Bogu.

<sup>2)</sup> Kulawy.

<sup>3)</sup> Pół kwarty.

<sup>4)</sup> Umierający z głodu.



bez trudu, bez pracy, przechadzając się po mieście, zarabiamy pięć razy, sześć razy więcej. Powiedziałeś mi niedawno, że nie jesteśmy pewni wstając rano, czy o głodzie spać nie pójdziemy; pozwoliłem ci gadać... ale spojrzyjno tam, pod trzecią lampą, na tych dziesięciu drabów, jak pożerają pieczeń baranią i drób pieczony! Czy myślisz, żeby nas tak częstowano w domu przytułku tego *Dessul-lamarra*? A jeżeli nie wszyscy bracia traktują się z takim zbytkiem, to tylko dla tego, że jedni wolą zbierać swoje *soldy*, drudzy wolą je przepić, albo przegrać w karty. I ty to samo robić możesz za dni kilka.

— Jak mi Bóg miły, tak robić będę! — zawołał stary ze zmyślonem uniesieniem — niech przepadną wszystkie domy przytułku! Zostanę ubogim, żebym się zbogacił. — Za twoje zdrowie!

— Za twoje! — odpowiedział kulawy, wypróżniając szóstą szklanę *kasysu* — i za zdrowie mojego grubego *Tonina*, perłę, śmietankę szynkarzy!

— Zrobiłbyś mi prawdziwą przysługę — rzekł stary — gdybyś mnie nauczył główniejszych waszych rubryk, ażebym sobie wybrał na własny pożytek tę, która mi się najdogodniejszą wyda.

— Jak najchętniej, kolego; a zaczynając od siebie samego, oto w kilku słowach historia mojego życia. Byłem dość głupi przez piętnaście lat, szukając wyżywienia z pracy. Po tym przeciągu czasu, wpadłem szczęśliwie w śmiertelną chorobę. Wyszedłszy ze szpitala, musiałem żebrac, bo grosz dawniej oszczędzony wymknął się z worka, a siły moje nie pozwalały mi jeszcze zasiąść do warsztatu. Pierwszy raz, kiedym rękę wyciągnął, nałykałem się wstydu dosyć; ale potem, kiedym zobaczył, że *soldy* spadały jak z deszczem, rzuciłem wstyd psu w oczy i puściłem się na żebraczkę. Dzisiaj, jak mnie widzisz, takem do niej przywykł, że wolałbym zdechnąć z głodu, niż pracować!

— I zrobiłeś się kulawym, jednookim, żeby nikt nie miał prawa powiedzieć: próżniaku, idź pracować!

— Słowo w słowo. — Ten drągał, wyskakujący w tym tam kącie z Maryą *La Gouje* i pozwalający, żeby go ten ogromny brytan chwycił za łytkę, zgadnij, czem jest we dnie?

— Daj go katu! — rzekł starzec — trudnoby mi było naznaczyć mu jakie kalectwo.

— Otoż widzisz, ten drągał jest paralitykiem... Rano stula się i wciska w mały wózek, podwiązuje sobie nogi nie wiem jak, a ten brytan ciągnie wózek po ulicach... Co się tyczy Maryi *La Gouje*, to matka sześciorga dzieci, z których żadne nie jest jej własnem... Pożycza je albo najmuje, zarzuca dwoje na plecy w płachcie, zawiesza trzecie u piersi, obwinięte gałganem; a resztę ciągnie za sobą. Przebiega tym sposobem ulice i targi. Ile razy prosi o jałmużnę, dzieci zaczynają płakać i krzyczeć: Jeść! Jeść! a kiedy nie krzyczą, ona je szczypie, ucząc rzemiosła.

— Nie lubię tego sposobu — rzekł oburzony starzec — katować te biedne dzieci.

— Bah! to je kształci — a potem trzeba przecież zarabiać na życie.

Przy kartach — mówił dalej kulawy — widzisz kategorię ślepych. Ten mały staruszek suchy i smagławy, gryzący swoje karty, jak pies wściekły, to artysta. Ciągnie smyczkiem, jak muzykus w teatrze, śpiewa jak *Serpan z la Major*<sup>1)</sup>. Wyśpiewuje tłuste piosneczki na placach, *komplenty*<sup>2)</sup> na targach, a kantyczki przy kościołach. Drugi ślepy, grający przeciwko niemu i zgrywający go, jak się zdaje, obdarzony jest nadzwyczajną pamięcią; zasiada co rano pod palissadą św. Anny, klepie długi szereg paciery aż do wieczora. Umie na pamięć siedm psalmów pokutnych, cztery ewangelie i wszystkie litanje w świecie.

— Nie mogę iść z nim w zapasy — odrzekł stary — umiem tylko Ojczy nasz i Zdrowaś... Czy nie mógłbyś mi powiedzieć, kto to jest ta *truandka* żółta, sucha i pomarszczona, siedząca na ziemi przy kominie i nie mówiąca z nikim?

— To cudowna i sławna w całym mieście kobieta — odpowie kulawy — nazywa się Wskrzeszona Madon.

— A z kądże jej ten przydomek?

— Z dziwnej przygody roku zeszłego. Wpadła w letarg tak głęboki, że ją wzięto za umarłą i poniesiono na cmentarz. W chwili kiedy otworzono po raz ostatni trumnę, jak to u nas we zwyczaju, nim ją w dół wpuszczono, obudziła się i wróciła piechoto do miasta. Diabeł zliczył wszystkie *soldy*, które jej ten cud przyniósł. Byłaby ona bez wątpienia bogatszą od nas wszystkich, gdyby stara czarownica nie rujnowała się loterją. Pewny jestem, że jej się marzy w tej chwili jakieś terno albo kwatarno. Ale, ale, wspomniałem ci dziś wieczór o pewnym uczonym z naszego bractwa. Widzisz go tam rozciągniętego przy wywróconym dzbanku, nie zaniedbał go wypróżnić, ręczę, nim zasnął. Co się tyczy kroju sukien, przyznasz, że jest ubrany przystojnie. Frak czarny wytarty jest wprawdzie, o ile można, ale zawsze to frak. Zresztą odzież ta od sześciu lat nie zlażła z niego; byłto strój dawnej jego professyi, bakałarstwa, dziś strój ten odpowiada doskonale roli wstydliwego nędzarza. W południe, wymyka się z ulicy szkolnej<sup>3)</sup>, siada na kamieniu, na placu Bona-

<sup>1)</sup> Serpent narzędzie dęte muzyczne, w kształcie grubego węża, służące do podtrzymywania głosów w śpiewie kościelnym. Serpanem zowią również człowieka, grywającego na tym instrumencie.

„Il y a dans cette eglise un excellent serpent.“ Diction. de l'Acad.

La Major kościół katedralny w Marsylii.

<sup>2)</sup> Complaintes, pieśni żałosne, lamentacje, j. n. gorzkie żale.

<sup>3)</sup> Rue de l'ecole.



partego, osłoniwszy twarz sporą chustką, której jeden koniec przytrzymuje kapeluszem, nie żebrze wcale, pobrękuje tylko *liardem* w miseczce, kiedy kto koło niego przechodzi. Wieczorem chowa chustkę do kieszeni, zapina frak i śmiało zaczyna przechodzących, wita ich jakoby dawnych znajomych i idzie obok nich, mówiąc: „Proszę mi wybaczyć, nie przywykłem żebrać, jestem ojcem licznej rodziny, doznałem wielkich nieszczęść, nie mam za co kupić chleba dla dzieci.“ Rzadko mu kto odmawia jałmużny, a co większa, rzadko mu kto mniej daje od dwóch lub trzech franków. O dziewiątej powraca do gniazda z napelnionym dzbankiem, wlewa go w brzuch i zasypia. Nie regularneż-to życie?

— Wyborna praktyka dla ojca *Tonina* — przerwał starzec — ale zapominasz o twojej szklance.

— Dobrze mówisz, kolego! Dajgo katu! Powinienem przeprosić *kasys mouarta du fam* — odrzekł kulawy, duszkiem spełniając szklankę.

— Czy nie masz co ciekawego do powiedzenia o tych pijakach, hałasujących przy tym stole?

— Ten tu bliżej nas, wyjący jak wilk i wybijający takt butelką, jest niemy i głuchy. Ten drugi, obejmujący dzbanek szerokimi rękami, ma obciętą jedną pięść we dnie. Siedzący przy nim towarzysz udaje chorobę św. Walentego, pieni się i przewraca doskonale oczyma. Ten czwarty, z czerwonym nosem, jak rozżarzony węgiel, a z licami białymi jak kreda, to brat epileptyka. Sposób jego żebrania następujący: gdy noc zapada, rzuca się na ziemię w cyrkule św. Jana, albo pod Karmelitami i żalosne wydaje krzyki; dobroduszne kobiety zbierają się koło niego, liczne zadając pytania, na które odpowiada: „Nic nie jadłem od trzech dni.“ — Zanoszą go do najbliższego sklepu, karmią, poją; наконец robią składkę pomiędzy sobą, a nawet wybiegają na ulicę, prosząc o wsparcie dla biedaka, umierającego z głodu.

— Przedziwny lud! przedziwny lud! — zawołał stary.

— Ja ci mówię, że nie ma równego mu w świecie; dla tego też nie myślimy z nim się rozłączać. Nieprawdaż, bracia? — krzyknął kulawy, powstając i obracając mowę do całego zgromadzenia *truandów* — nie rozłączymy się z ludem i przysięgamy, że prędzej strzaskamy łeb temu łajdakowi *Dessullamarowi* i ciało jego rzucimy w morze, jak ścierwo!

— Tak! tak! — ryknęli chórem żebracy — Precz z *Dessullamarrem*! Śmierć *Dessullamarowi*!

— A ty będziesz trzymał z nami, stary kolego? — spytał kulawy starca.

— Bez wątpienia — odpowie tenże — jak będziecie mordowali tego łotra, ja przy tem koniecznie być muszę.

Wrzawa i kłatwy grzmiały długo pod sklepieniem piwnicy. Wszyscy, nawet małe dzieciaki, wodzące ślepców po ulicach, miotali straszliwe zaklęcia zemsty i śmierci

przeciwko żarliwemu filantropowi, chcącemu uwolnić to piękne i handlowe miasto od hydzącej je plagi i obrócić na istotną, a ukrywającą się i cierpiącą nędzę te obfite źródła miłosierdzia i jałmużny, pochłaniane dotąd przez szarlatanizm nędzy zmyślonej.

Kulawy wodził tryumfujące spojrzenie po szalonym i podburzonym tłumie.

— Oh! gdyby nam wpadł w ręce! gdyby nam wpadł w ręce! — trąbił w ucho starcowi. Ten odpowiadał tylko dziwnym uśmiechem, który, w wyobraźni kulawego, był niemy wyrazem uniesienia i podziwu.

Nagle, jakiś głos piskliwy i przenikający przedarł się przez gwar powszechny; było głos małego staruszka, chudego i żwawego, który właśnie do piwnicy wchodził. Włosy jego były gęste i siwe, oczy żywe i nadzwyczaj ruchliwe; odzież miał z grubego sukna, ale niepodartą; kapelusz tylko połamany i wytarty był niejako godłem jego żebraczego stanu.

— Jezus! Marya! *Qu es aco?*<sup>1)</sup> — zawołał ze śmiechem? Cóż się takiego stało dziś wieczór, bracia? Czy wam szerść djabła uwięzła w gardle, że tak wyjecie?

— Ah! to Józef! biedny Józef! — wykrzyknęli żebracy, jakoby czarodziejską uśmierzeni siłą, i otoczyli staruszka z całą serdecznością, połączoną jednak z pewnym rodzajem poważania.

Koło *truandek*, zebranych przy kominie, otworzyło się dla niego; posadzono go przy ogniu na najlepszym stołku, każdy okazywał mu jak najlepszą życzliwość, pojono go, karmiono na wyścigi.

— Dziękuję wam, dziękuję moje dzieci — odpowiadał każdemu — skruszyłem kawałek czarnego chleba przez drogę; a wiecie dobrze, że wina nie pijam. Przyszedłem zaprosić się do was na nocleg, bo jutro mam niektóre drobnostki do załatwienia w Marsylii u notaryusza, któremu powierzyłem, jak wiecie, moich kilka talarów.

— A wesele? a wesele twojej Małgosi? — spyтали żebracy.

— Jeżeli się spodoba Panu Bogu i Najświętszej Jego Matce, w przyszłą niedzielę... Przykro mi bardzo, że was na nie zaprosić nie mogę. Ale bądźcie spokojni, poczęstuję was tutaj; wypijecie za zdrowie nowożeńców i biednego Józefa — nie prawdaż, bracia?

— Niech żyje biedny Józef! — ryknęło sto głosów z równym uniesieniem, z jakim zapowiadało śmierć *Dessullamarowi*.

Tymczasem starzec badał kulawego o znaczenie tej szczególnej owacy.

— Oh! biedny Józef! biedny Józef! — rzekł kulawy — to wzór dla nas wszystkich. Wszyscy wzdyhamy za losem, jaki sobie Józef w naszym rzemiośle zapewnił. Wystaw sobie, że on jest bogatszy od wielu kupców miasta,

<sup>1)</sup> A to co.



dających mu swoje *soldy i liardy*. Córka jego, idąca w niedzielę za mąż za jednego oberzystę z okolicy, będzie miała 30.000 franków posagu; a pewni jesteśmy, że to nie jest połowa całego jego kapitału.

— Jakto? — zawołał stary z uniesieniem — przeszło 60.000 franków! Jakże on u Boga mógł zebrać tak wiele?

— Tak, jak my wszyscy. Od dwudziestu lat przeszło udaje waryata, chodzi od wsi do wsi, od folwarku do folwarku i za *solda* wyskakuje trzy razy w górę, podrzucając

nocy i rzucił się na materac, radząc, żeby siedł za jego przykładem. Wkrótce nastąpiło milczenie, przerywane tylko chrapaniem, albo czkawką pijacką... i światło zgasło. Nazajutrz kulawy, otworzywszy oczy, zdziwił się niezmiernie, że towarzysza starego nie znalazł przy sobie.

Tegoż dnia, w południe, pan *Dessullamarre* udał się na radę miejską; skreślił w mowie pełnej oburzenia i mocy obraz tego wszystkiego, co na własne oczy widział, i czego się sam na Dworcu cudów nauczył. Domagał się znowu



Wizerunek Tadeusza Kościuszki z ostatnich lat życia. (str. 122.)

kapelusze. Oto cała tajemnica jego fortuny... Tylko zamiast przepijać, albo przegrywać w karty swoje *soldy*, gromadził je u jednego z notaryuszów Marsylii.

Kulawy domawiał tych słów, kiedy *truandy*, powstawszy z miejsc, przeszli wraz ze starym Józefem do przyległej piwnicy, zasłanej siennikami i materacami; to była ich sypialnia; oświecał ją tylko jeden mdły kaganek. Kulawy poprowadził do niej towarzysza, życzył mu dobrego

funduszu na założenie domu przytułku i pracy. Na temże zaraz posiedzeniu otworzono składkę; wszyscy członkowie rady wpisali się na znaczne sumy, a celniejsi kupcy miasta poszli za ich przykładem.

Zbudowano dom przytułku w *Aix*, na placu św. Ludwika.

Tymczasem okropna burza wybuchła w *truanderyi*; kulawy, rozjuszony więcej niż inni, że się dał wywieść w



pole przez swego śmiertelnego wroga, oskarżony został przez kolegów o zdradę, zamordowany przez nich i porzucony w porcie. *Truandy* zanosili protestacye, suplikacye, reklamacye; stawiali zasadzki, knuli najstraszliwsze spiski przeciwko *Dessullamarrowi*; ciągła roztropność i niezmordowana czujność zasłoniły go przed skutkami szalo-

nych zamachów. Kiedy dom przytułku już stanął, żebraki widząc, że zemsta i opór na nic się nie zdadzą, i że ich wszystkich gwałtem zamknąć zamyślają, uciekli z miasta i porzucili Prowancję.

KSAWERY GODEBSKI.



Pomnik Kościuszki na cmentarzu w Zuchwil. (str. 126.).

## Z POBYTU TADEUSZA KOŚCIUSZKI W SZWAJCARYI.

### WSPOMINKA BIOGRAFICZNA.

Jak szeroka i długa Polska nasza, od strzechy wieśniaczej do kolumn pałacowych, nie znalazłby się pewno żaden zakątek, gdzieby nieznano imienia Kościuszki, nieczczono pamięci tego najpopularniejszego w narodzie bohatera. Wielki ten mąż znaczył drogę swoją w dziejach tylko najczystsza miłością i poświęceniem, a taki język trafia do każdego serca, które tylko zdolne jest bić i cierpieć dla ojczyzny.

Ale jakże wielu natomiast znalazłoby się takich między nami, nawet w warstwach tak zwanej po dzisiejszemu

Zesz. IV.

inteligencyi, którzy nie wiedzą wcale, kiedy żył, działał i umarł ten bohater z pod Racławic, nie mówiąc już o innych, osłoniętych pomroką czasu szczegółach jego domowego i prywatnego życia. Ci po największej części nie troszczą się nawet wcale o te wiadomości; im dość jest wiedzieć, że żył kiedyś mąż w Polsce, którego zwano Kościuszką, który zasłużył się wielce ojczyźnie i jaśniej dziś jakby postać mityczna w narodowym olimpie, którejby niemal ubliżało nawet przypisywanie pochodzenia czysto ludzkiego.



Że tak jest w istocie, o tem można łatwo się przekonać; — ale czyż godzi się poprzestawać na tem? Czyż przeciwnie nie powinien każdy, mający pretensję do wykształcenia, znać dokładnie życia takich mężów, których Opatrzność zsyła od czasu do czasu narodowi dla wskazania mu torów bożych w dziejach ludzkości? I czyż jest dla człowieka inna nauka wznioślejsza i pożyteczniejsza nad tę?

Zapewne—odpowie niejeden; ale dajcież nam dokładny życiorys Kościuszki, jeżeli chcecie, abyśmy go znali—i niestety zarzut ten byłby w tym właśnie wypadku dość słuszny. Pół wieku z okładem minęło już, jak zakończył ziemską pielgrzymkę swoją ten nieśmiertelny szermierz za wolność dwóch światów, a Polskę — która go wydała, nie starczyło dotąd na Plutarcha, zdolnego skreślić wiernie obraz jego życia\*); co gorsza — pięćdziesiąt razy już wracała rocznica jego zgonu, dwa pokolenia prawie otarły się o kopiec, usypany przez naród na cześć jego: — a my podobno ani razu jeszcze nie uczciliśmy tej rocznicy tak, jakby się godziło! Prawda, że przez długi czas zgjęci pod obuchem wrogiego narodowości naszej absolutyzmu, nie mogliśmy krzepić ducha podobnemi objawami patriotyztu; były czasy, że bezkarnie nie można było nawet wymawiać głośno tego imienia straszego despotyzmowi; ale czasy te dzięki Bogu minęły już bezpowrotnie, i dziś tylko samych siebie musielibyśmy obwiniać o niedbałość i brak poczucia narodowego, gdybyśmy dłużej jeszcze dozwolali się wyprzedzać cudzoziemcom w poczczeniu pamięci bohatera, którego blaskiem tak świetnie zajaśniała Polska na obydwóch półkulach ziemi.

A tak niestety było dotychczas, i podobno nie łatwo przyszedłoby nam usprawiedliwić się z tego zarzutu. Nim u nas ogłoszenie nagrody obudziło chęć do napisania żywota Kościuszki, znanego dotąd tylko urywkowo z kilku pamiętników\*\*) i artykułów dziennikarskich, posiadały już dawno Szwajcarja i Francja obszernie biografie jego\*\*\*); w literaturze niemieckiej, francuskiej i angielskiej możnaby naliczyć nierównie więcej dzieł zajmujących się Kościuszką, niż u nas, a w zagranicznych pismach czasowych — osobliwie ilustrowanych—można niemal co roku spotkać się z jakimś artykułem, odświeżającym pamięć sławnego „Naczelnika narodu polskiego“, co u nas prawdziwą bywa rzadkością.

Tem większą też sprawia nam przyjemność, że wydając dziś sami tego rodzaju pismo, możemy choć w części zapełniać ten brak, zbierając skrzętnie wszystko, co

tylko z świetnej przeszłości narodu następczać może dzisiejszemu pokoleniu godny naśladowania przykład. A nadarzyła nam się właśnie do tego bardzo miła sposobność. Dnia 15. października r. z. przypadała pięćdziesięcioletnia rocznica zgonu Kościuszki, i wychodzące w Lipsku pismo ilustrowane „Gartenlaube“ przyniosło z tego powodu bardzo serdeczne wspomnienie o nim, ozdobione dwiema pięknymi rycinami, z których jedna przedstawia wizerunek Kościuszki jako sędziwego już starca, a druga skromny nagrobek jego na uroczym cmentarzu wiejskim w Zuchwil w pobliżu Solury, stolicy kantonu tej samej nazwy w Szwajcarii. Wspomnienie to zajmuje się głównie podniesieniem szlachetnego charakteru i cichego, prawdziwie chrześcijańskiego poświęcenia dla ludzkości, których niezatarte ślady pozostawił po sobie w przybranej ojczyźnie ten wedle Montalemberta „ostatni rycerz — a pierwszy obywatel sławiański w nowoczesnem pojęciu braterstwa i równości“; a ponieważ artykuł ten zawiera szczegóły, właśnie może najmniej znane powszechności polskiej, tak o domowem pożyciu Kościuszki w Szwajcarii jak i o ostatnich chwilach jego życia, — więc zdaje nam się, że również i czytelnikom naszym miło będzie poznać je wraz z rycinami, których całkiem wierne kopie zamieszczamy na poprzednich stronicach naszego pisma.

Znany jest powszechnie z historii nieszczęsny rezultat bitwy maciejowickiej, stoczonej na dniu 10. października 1794. Kościuszko pokonany przeważnemi siłami Suwarowa, pomimo niezrównanego bohaterstwa swojej szczupłej armii, dostał się ciężko ranny do niewoli moskiewskiej, i miał podług ukazu zawziętej carycy Katarzyny przebywać do śmierci jako więzień stanu w warownym zamku Grzegorza Orłowa. Ale inaczej zrządziła Opatrzność. Następca jej, car Paweł, któremu historia przyznaje rzeczywiście nieznaną w rodzie Romanowów szlachetność i łagodność charakteru, nie tylko powrócił Kościuszcze wolność, ale ofiarował mu nadto majątek ziemski, wynoszący podług terminologii moskiewskiej 1000 dusz, żądając od niego tylko słowa, że nie będzie nigdy więcej walczyć przeciw Moskwie. Ale Kościuszko nie przyjął tego daru, prosząc natomiast o zasiłek pieniężny na podróż, który później w całości zwrócił.

Biorąc rzecz ze stanowiska bezwzględnej teorii o patriotyzmie, nie powinien był może Kościuszko dawać tego słowa, i tu mógłby rzeczywiście upatrywać historyk najsłabszy moment w życiu tego bohatera; ale trzeba znać dokładnie powody i okoliczności, które skłoniły go do tego na pozór małodusznego kroku, a który w gruncie rzeczy był właśnie tylko wpływem najczystszej patriotyzmu. Nowy car oświadczał się z najlepszymi chęciami dla Polski, potępiając wyraźnie zbrodniczy machiawelizm swojej poprzedniczki; prócz tego zależał od Kościuszki także los wielu innych więźniów, którzy wraz z nim popadli w niewolę. Względy

\*) Wprawdzie skutkiem ogłoszenia przed trzema laty nagrody za napisanie życiorysu Kościuszki, zabrał się do tej pracy pan L. Siemieński; ale dotąd ogłosił tylko jeden zeszyt, z którego widać zresztą, że i ta monografia nie będzie tak szczegółową, jakby być powinna.

\*\*) Zajączka, Niemcewicz, Rogowskiego, i szkic biograficzny Leonarda Chodźki.

\*\*\*) Falkensteina i Juliana.



te nie mogły być bez wpływu na postanowienie jego, i one też usprawiedliwiają zupełnie przyjęcie tego warunku z jego strony. Kościuszko dał tedy żądane słowo i dotrzymał go też z wiernością prawdziwie rycerską aż do zgonu.

Powrót do ojczyzny nie był mu wprawdzie zabroniony; ale nie chciał on krwawić serca swego patrząc na jej nie-szczęścia a nie mogąc jej ratować. Jak tylko więc wyzdrowiał z ciężkich ran swoich, odpłynął wprost do Ameryki, gdzie przed dziesięciu laty w wojnie o niepodległość Ameryki północnej dosłużył się stopnia generała brygady, i tam przyjmowany z największymi honorami, przebywał jakiś czas u przyjaciela swego ojca, Waszyngtona. Wkrótce jednak potem wysłano go ztamtąd w jakiejś misji dyplomatycznej do Francji, której zgromadzenie narodowe przed kilku laty już mianowało go honorowym obywatelem tego kraju. Kościuszko przyjechał do Paryża i krótki czas tam bawił; ale skoro sprawa powierzona mu została już załatwioną, nie powrócił więcej do Ameryki, lecz usunął się w okolice miasta Fontainebleau, i tam na zamku Barville, u wiernego przyjaciela swego Zeltnera, posła Rzeczypospolitej Szwajcarskiej, przebył w zupełnem udoskonaleniu całą burzę wojen napoleońskich, zajmując się tylko naukami i wychowaniem dzieci Zeltnera. Gdy jednak po wielkiej bitwie pod Lipskiem armie mocarstw sprzymierzonych załapały Francję i wrzawa wojenna przedarła się aż do jego schronienia; gdy nadto z upadkiem Francji zasepiła się znowu przysięga ojczyzny, którą całym sercem kochał, opuścił po piętnastoletnim spokojnym pobycie ziemię francuską i przeniosłszy się do wolnej Szwajcaryi, osiadł na stałe mieszkanie w Solurze.

Przed samym zaś odjazdem miał jeszcze sposobność przekonać się, że sława imienia jego nie straciła jeszcze swej uroczej siły na północy. Rekrutowane z ziem polskich wojska rosyjskie srożyły się w okolicy Fontainebleu szerząc dokoła mord i pożogę. Kościuszko nie mógł patrzeć obojętnie na te okrucieństwa, i spotkawszy w pobliżu zamku Berville bandę żołdaków, którzy chcieli właśnie podpalić kilka chat wieśniaczych, wpadł pomiędzy nich i krzyknął: „Żołnierze, stojcie! Gdym niegdyś był dowódcą dzielnych wojsk w Polsce, nie myślał nikt o rabunku, i surowo byłbym karał żołnierzy a jeszcze surowiej oficerów, którzyby byli tak jak wy postępowali.“ — „A któż ty?“ — wołano zewsząd — „że chcesz nam rozkazywać?“ — „Jestem Kościuszko.“ — Na to imię porzucili wszyscy broń, błagali na klęczkach o przebaczenie, i tarzając się w prochu, całowali stopy sławnego wodza. Berville ocalało; zamek otrzymał straż honorową z Kozaków, a car Aleksander dowiedziawszy się o tem, napisał do Kościuszki list pełen grzeczności, zapraszając go do siebie do Paryża. Nie przyjął jednak tego zaproszenia Kościuszko, lecz jak mówiliśmy — odjechał zaraz potem do Solury.

A miało to miejsce dość powabów dla starca, pragną-

cego po burzach młodości ciszy i wytchnienia na łonie natury. Spokojne to i schludne miasteczko, położone wśród czarującej doliny, którą jakby olbrzymie ramy opasują sine pasma gór, z jednej strony Jura z swoim sosnowym porostem i malowniczymi grzbietami, a z drugiej nienagany w dali łańcuch Alp szwajcarskich. Same miasteczko zdołały dokoła jakby zielona wstęga, cieniste gaje lipowe, (które dziś wyniszczyła już cheiwa dłoń przemysłu) i wonne bory sosnowe, a tu i ówdzie rozścielały się pośród nich kwiecistym kobiercem bujne łąki i polany, otwierając najcudniejsze widoki miłośnikowi natury; wszędzie jaśniała przyroda jeszcze całą krasą swej poetycznej szaty, nieoszepeconej nigdzie kopącym kominem lub prozaicznym budynkiem klekotającej wiecznie fabryki. Miasteczko liczyło wówczas zaledwie pięć tysięcy mieszkańców, ale było siedzibą rządu i gimnazjum, co stanowi zawsze jakiś rdzeń oświaty i życia umysłowego. Sami mieszkańcy nakoniec było zawsze ludek ochoczy i żywy, i odznaczał się bardzo uprzejmą gościnnością dla cudzoziemców. Bardziej jednak niż to wszystko wabiła Kościuszkę ta okoliczność, że Solura była rodzinnem miastem jego najdroższego przyjaciela Zeltnera, i że mieszkał tam brat tegoż, radca stanu X. Zeltner, który uważał za szczęście pobyt Kościuszki w swoim domu.

Wiadomość o przybyciu tak sławnego cudzoziemca sprawiła wielkie wrażenie w Solurze. Mieszczaństwo okazało mu cześć swoją uroczystym wystąpieniem gwardyi strzeleckiej, a rada stanu wysłała umyślną deputacyę do domu Zeltnera, by złożyć Kościuszcze dowód swojego uwielbienia i ofiarować mu swoje usługi. Kościuszko jednak skromny jak zawsze, nie przyjął żadnych zaszczytów. W domu swojego nowego przyjaciela znalazł pokrewieństwo ducha i serca, miłe i wykształcone kółko rodzinne, przywiązanie oparte na szacunku wzajemnym i najserdeczniejsze przyjęcie.

Starzec sędziwy, osłabiony ranami i długiem cierpieniem, potrzebując pielęgnowania a widząc się samotnym na świecie, przylgnął wnet całym sercem do tego zacnego domu i postanowił przepędzić w nim resztę swojego życia. Prawy charakter gospodarza, cicha skrzętność i uprzejmość gospodyni, i towarzystwo wesołych dzieciaków zarówno go pociągały; a spokojne i ustronne pożycie domowe tej familii, otwierające się tylko dla szczupłego grona wybranych przyjaciół, odpowiadało najzupełniej jego życzeniom i skłonnościom. Nawet pokost czysto-mieszczański i skromne stosunki tego domu przypadały do jego zwykłego sposobu życia. Nie był on nigdy miłośnikiem zewnętrznych blasków i wystawności, i jak na szczycie swojej sławy, jako dyktator polski, jako wszechmocny naczelnik, prowadził pojedyncze życie żołnierskie, tak i teraz rad podzielał skromne objady tej rodziny, sypiał na twardym łożu obozowem, a cała jego troskliwość o wygodę osobistą kończyła się



na starym, wiernym słudze i małym koniu, na którym przedsiębrał wycieczki swoje w okolice.

Życie jego było regularne, czas podzielony ściśle po żołniersku. Część jego poświęcał własnym studjom naukowym, szczególnie historii i geografii, których był wielkim miłośnikiem jeszcze od czasu uwięzienia swego w zamku Orłowa. Więcej jednak niż sobą samym, zajmował się kształceniem Emilii Zeltnerówny, dwunastoletniej córki swego przyjaciela. Milutkie to i pełne zdolności dziewczątko zdobyło do razu jego szlachetne serce, a ponieważ i sama z całym zapalem wrażliwej natury przygłębiała do starca, zawiązał się wnet bardzo tkliwy stosunek między temi dwiema, tak różniącemi się wiekiem duszami, który trwał aż do zgonu generała. Kościuszkowi zawarował sobie, ażeby mu powierzono zupełnie wyższe wykształcenie swojej przyjaciółki, i z całą też sumiennością wykładał jej codziennie po kilka godzin geografję i historję, mianowicie starożytnego Rzymu. Nieraz świadkami takich wykładów bywali znakomici ziomkowie, odwiedzający sędziwego generała, i w doniesieniach swoich do kraju rozpisywali się ze wzruszeniem o tym serdecznym stosunku między uwielbianym bohaterem i jego „kochaną małą przyjaciółką.“

Ale także oprócz godzin naukowych była nadobna Emilia najulubieńszą jego towarzyszką. Kościuszkowi lubił bardzo dzieci, a szczególnie naiwne dziewczątka; znało go też z tej strony całe młode pokolenie Solury, które przechodząc ulicą zwykle pieścił i raczył cukierkami; najwięcej jednak tych pieszczot, łaski i podarunków dostawało się jego elewce. Dla jej miłości urządzał on dziecinne bale, i miesząc się między dziatwę podzielał z rozczulającą serdecznością jej rozrywki i zabawy. A nawet tak wielkim był wpływ Emilii na sędziwego przyjaciela, że w końcu stała się pośredniczką między nim i światem, odbierała zanoszone do niego prośby o wsparcie, wstawiała się za potrzebującymi pomocy i t. p.

Zresztą żył Kościuszkowi w Solurze w wielkiem odosobnieniu, ograniczając się tylko na małym kółku zaufanych przyjaciół, uczonych, kupców, oficerów, którzy co wieczór schadzali się u niego na herbatę. Wizyt z grzeczności tylko nie robił nigdy, a próżną ciekawość, której ofiarą bywają zazwyczaj sławni ludzie, umiał powstrzymać zdala. Najmilszem było mu towarzystwo wieśniaków, rzemieślników i w ogóle ludzi z klasy pracującej; nieraz przypatrywał się po całych godzinach robotom w polu, rozpytując się wieśniaków o różne szczegóły i zwyczaje. Także w sławnych kamieniołomach pod Solurą bywał częstym i mile widzianym gościem, i nieraz pomagał sam przy dźwiganiu ciężarów i t. p.

Wycieczki w okolice miasta przedsiębrał najczęściej konno i bez wszelkiego towarzystwa, a nie wybierał na to nigdy gościńców głównych, lecz samotne drożyny po polach i lasach, wyszukując ubogie chaty rozrzuconych u pod-

nóża Jury wiosek, tudzież ustronne pomieszkania ubogich kamieniarzy i wyrobników. Tu znalazłszy rodzinę nieszczęśliwą, walczącą z niedostatkiem, lub chorego na łożu boleści, — zsiadał z konia, uwiązywał go do drzewa, i wchodząc pod ubogą strzechę przynosił jak anioł opiekuńczy pociechę i zbawienną pomoc. W tym celu też woził zawsze z sobą kilka butelek starego wina, które dawał chorym na wzmocnienie. Przez długi czas nikt się nie domyślał, kto jest ten dobroczynny starzec z słodkim wejrzeniem i zawsze otwartą dłonią; gdyż nim ubodzy mieli czas wyjść z podziwienia, siedział już na koniu i spieszył dalej szukać nowej siedziby nędzy. Ale także żebracy po drogach, wędrująca czeladź rzemieślnicza i inwalidzi nie bywali pomijani bez datku, i nigdy też nie wyjeżdżał on z domu nie napełniwszy sakiewki swej drobną monetą. Koń jego tak był obznajomiony ze zwyczajem swego pana, że stawał przy każdym żebraku siedzącym u drogi i nieruszył się z miejsca, dopokąd nie dano mu jałmużny. A że wędrowki takie odbywały się codziennie, bez względu na słotę lub zamieć śnieżną, więc też w krótkim czasie znał generał dokładnie statystykę ubogich na kilka mil dokoła.

W zimie z r. 1816 na 1817 panował wielki głód w Szwajcaryi, i drożyzna wzmogła się do tego stopnia, że nawet zamożniejsi mieszkańcy musieli znacznie się ograniczać. Dobroczynna działalność, jaką rozwijał Kościuszkowi w tym czasie, nie da się zaprawdę opisać! Z podwojoną gorliwością odbywał on swoje wycieczki konne, obdarzał codziennie do pięćdziesięciu ubogich datkami pieniężnymi, zachęcał do składek, do urządzania garkuchni dla ubogich, i był wszędzie czynnym. Nawet znaczne sumy poświęcał często naraz, jeżeli potrzeba było wybawić kogo z nieszczęścia, na które nie zasłużył. Dowiedziawszy się raz późno wieczorem, że dwie zacne rodziny w mieście miały być za znaczny dług wyrzute wkrótce z całego mienia, wręczył pani Zeltnerowej natychmiast potrzebne pieniądze, ażeby je zaraz zaniósła strapiionym. „A spiesz się pani“ — dodał — ażeby jeszcze dziś doręczyć pieniądze tym pocziwym ludziom; nie godzi się ani chwilę dłużej zostawiać ich w tem zmartwieniu. A jeźliby spali, każ pani ich zbudzić; będzie to radośne przebudzenie, po którym zasną tem spokojniej wiedząc, że nędza nie wisi już nad ich głową.“

W najpiękniejszym jednak świetle przedstawia się szlachetny umysł naszego bohatera w następującem zdarzeniu. W pobliżu Solury, w jednej z najlichszych parafii tego kantonu, urzędował przez długie lata ubogi ale bardzo zacny pleban. Rząd pragnąc wynagrodzić długoletnie zasługi jego, nadał mu w marcu r. 1817 jedno z najlepszych probostw kantonu, ażeby resztę dni swoich mógł przeżyć spokojnie bez troski i mozołu, załączając do tej nominacyi bardzo zaszczytny dekret uznania. Ale szlachetny starzec nie mógł przenieść tego, by dla własnej wygodzie miał opuszczać swoją ukochaną trzodę, i nie przyjął



ofiarowanego sobie probostwa. Zaledwie dowiedział się Kościuszko o tej szlachetnej rezygnacyi, wybrał się w drogę, ażeby poznać tego prawdziwego sługę Chrystusa. Gdy przybył do skromnej plebanii, był ksiądz zajęty właśnie gołębieniem się i kazał go przeprosić, że nie będąc ubranym, nie może przyjąć godnie tak dostojnego gościa. Ale Kościuszko nie dał się powstrzymać, wszedł z młodzieńczym prawie zapałem do pokoju plebana, uściskał go ze łzami w oczach i wśród wyrazów najgłębszego poważania ofiarował mu swoją przyjaźń. Odtąd była ta uboga plebania naj-  
 ulubieńszem celem jego wycieczek.

W ciągu dwuletniego pobytu swego w Solurze przedsiębrał Kościuszko także większe podróże konno dla poznania Szwajcaryi. Tak w lecie roku 1816 zwiedzał klasyczne miejscowości nad jeziorem Vierwaldstakiem i sławne pole bitwy pod Morgarten. Rozpoznając na miejscu szczegóły tych walk pamiętnych, nie mógł się oprzeć bolesnym wspomnieniom własnych przygód, i ściskając z głębokiem wzruszeniem dłoń swego przyjaciela Zeltnera szeptał: „Ach, czemuż pod Maciejowicami nie ostrzegł i mnie taki Hühnenberg, czemuż Poniński nie był tak zwinny, jak Reding!“

Inna późniejsza podróż miała na celu Szwajcaryę francuską, a mianowicie sławny w całym świecie zakład wychowawczy wielkiego pedagoga Pestalozzego w Yverdon. Dwa dni przepędził tam Kościuszko, przysłuchiwał się wykładom nauk, rozmawiał z najżywszym udziałem z nauczycielami i uczniami, i wróciwszy ztamtąd mocno wzruszony przemyślał do ostatnich chwil życia nad tem, by także w Polsce zaprowadzić szkoły i seminaria nauczycielskie w duchu wielkiego pedagoga z Yverdon.

Na krótki czas przed zgonem zgotowała mu Opatrzność jeszcze dwie miłe niespodzianki, dwa spotkania—niby ostatnie, serdeczne pozdrowienia z dalekiej ojczyzny, którą tak gorąco miłował. W jednym z klasztorów żeńskich w Solurze osiadła jakaś zakonnica polska, która zmuszona wypadkami politycznemi opuścić swoją ojczyznę, znalazła przytułek w tych murach. Jak tylko Kościuszko dowiedział się o tem, odwiedził ją zaraz, zachowując jednak w tajemnicy swoje nazwisko, i rozmawiał z nią uprzejmie językiem ojczystym. Ale nagle rozpromieniła się twarz zakonnicy, powstała szybko jakby przebudzona ze snu i cofając się z wielkiem uszanowaniem — zawołała: „Pan jesteś Kościuszko! Dzieckiem jeszcze będąc widziałam w Polsce medal z wizerunkiem pana, który wszystkie kobiety nosiły na piersiach, i nikt na całym świecie nie może mieć takiej twarzy, pełnej godności i szlachetności, prócz wielkiego Naczelnika.“

Drugą niespodzianką było przybycie księżnej Lubomirskiej, najdroższej niegdyś sercu jego Ludwiki\*), która w przejeździe do Włoch odwiedziła Kościuszkę w domu Zel-

tnerów, i na jego życzenie przedłużyła o kilka tygodni swój pobyt w Solurze. Jej ożywiające rozmowy, uprzejmość towarzyska i wesoły humor rozjaśniły ostatnie dni jego życia. Kościuszko bowiem był już wtedy cierpiącym, i podobnie, jak owi wieszczowie starożytnego świata, przeczuwał blizki swój koniec. Przy pożegnaniu, które było bardzo tkliwe, przyrzekała mu księżna ponowić odwiedzinę na przyszłą wiosnę. Ale Kościuszko wstrząsał smutnie głową i prosił ją o jaką pamiątkę. Księżna przysłała mu wkrótce potem z Luzanny złoty pierścień z napisem: „Przyjaźń cnocie“; ale gdy ta obrączka nadeszła do Solury, była już martwą ręką, która ją nosić miała!

W przecuciu też blizkiego zgonu pewno, wykonał on w tym czasie ów wspaniały czyn, który w całej Europie wywołał jednogłośny okrzyk uwielbienia i okazał w najpiękniejszym świetle jego szlachetny charakter, mianowicie obdarzył zupełną wolnością poddanych swoich w Siechnowicach. Sławnym dokumentem, wystawionym na dniu 2. kwietnia 1817 r., ogłosił wszystkich właścicieli tej wsi wolnymi obywatelami kraju, właścicielami gruntów, które posiadali, i uwolnił ich oraz od wszelkich danin, opłat i robót pańszczyźnianych dla dworu. Równocześnie mianował swoją siostrzenicę, Katarzynę Estkową, i jej dzieci właścicielami tej posiadłości.

W jesieni tego roku panował w Solurze zaraźliwy tyfus, towarzyszący zwykle głodowi, i ofiarą tej zarazy miał paść także ów niezrównany dobroczyńca ludzkości. Na dniu 1. października okazały się pierwsze oznaki słabości; Kościuszko nie zatrwożył się niemi bynajmniej, lecz ze zwykłą spokojnością poczynił natychmiast ostatnie swoje rozporządzenia. Większą część swego dość znacznego majątku przekazał rodzinie Zeltnerów, obdarzając mianowicie drogą Emilię swoją prawdziwie po ojcowsku. Ubodzy, tudzież dom sierot i rozmaite inne zakłady dobroczynności, otrzymali hojne uposażenie, a oprócz tego wręczył on swemu zacnemu przyjacielowi i patronowi Amiet znaczną sumę w gotówce, dla rozdania ubogim wstydzącym się zebrać. Wyraźnie rozporządził, ażeby pogrzeb jego odbył się bez wszelkiej wystawności; tylko sześciu ubogich miało nieść trumnę do grobu. Poczyniwszy te rozporządzenia, odłożył pióro swobodnie i zawołał: „Teraz mi dobrze.“ Wszakże przekonanie jego o blizkości zgonu było niezachwiane, chociaż objawy słabości nie były wcale jeszcze groźne, i duch jego pozostał przytomnym aż do śmierci. Przez cały czas słabości rozmawiał spokojnie z Zeltnerem, nieodstępującym prawie od jego łóżka, o swojej przeszłości i o przyszłości Polski, którą do ostatniego tchu się zajmował.

Uroczystą i wielce rozrzewniającą była chwila, gdy Kościuszko zęgnął swego przyjaciela i jego rodzinę. Wszyscy klęczeli u łoża ukochanego starca; każdemu udzielał on błogosławieństwa, dla każdego miał słowa pociechy i miłości. Potem kazał podług starego zwyczaju podać so-

\*) Ludwika Sosnowska, którą Kościuszko kochał za młodu.



bie swoją szablę, patrzył na nią chwil kilka z bolesnem wzruszeniem, a potem położył obok siebie, jak gdyby chciał powierzyć jej straż nad swojemi zwłokami. Dnia 15. października pod wieczór zaczęły go szybko opuszczać siły, i wszystko nasuwało przekonanie, że życie jego wkrótce już zgaśnie. Naraz podniósł się z wytężeniem wszystkich sił na łóżku, podał obie dłonie Zeltnerowi i jego małżonce, spojrzął z słodkim uśmiechem na swoją Emilię \*) i westchnąwszy głęboko opadł martwy na poduszki.

Ciało jego otwierano nazajutrz a potem zabalsamowano. Było ono całe okryte bliznami dawnych ran; kilka głębokich szram zdobiło jego piersi, a na głowie krzyżowały się liczne cięcia. Przy rozbieraniu zmarłego znaleziono na jego piersiach białą chustkę od nosa, która miała być pamiątką po pierwszej kochance jego Ludwice Sosnowskiej, córce pisarza litewskiego, którego duma zerwała ten stosunek miłosny; ale podanie to nie ma żadnej pewniejszej podstawy.

Pogrzeb bohatera odbył się pojedynczo, bez wszelkiej parady wojskowej, ale dodawały mu świetności powszechna żałoba i postępujący z płaczem za trumną niezliczony orszak tych, którym był ojcem. Sześciu ubogich starców niosło trumnę. Z przodu szły sieroty w żałobnych szarfach i z kwiatami w ręku. Trumna była otwarta, ażeby cała Solura mogła jeszcze ostatni raz przypatrzeć się drogim rysom szlachetnego przyjaciela. Po bokach szli młodzieńcy niosąc zmarłego oręż, kapelusz, laskę jeneralską, amerykański order Cincinnata i wieńce z wawrzynu i dębowych liści na czarnych aksamitnych poduszkach. W kościele jezuickim w So-

lurze, po odprawieniu uroczystego nabożeństwa, złożono zwłoki w ołowianą trumnę, na której położono pieczęć rządową, potem zamknięto w drugą trumnę dębową i znie-siono do grobowców kościelnych.

Nie długo jednak spoczywały te drogie dla Polski zwłoki na obcej ziemi; ojczyzna przejęta macierzyńskim żalem i miłością, pragnęła otulić je na swoim łonie, i nawet nieprzyjaciele jej nie śmieli się oprzeć temu życzeniu. W pół roku potem sprowadzone zostały zwłoki bohatera z wielką uroczystością do Polski i złożone na Wawelu obok królów polskich. Ale serca jego, które wyjęto przy balsamowaniu i w metalowej puszcze złożono na cmentarzu w Zuchwil w pobliżu Solury, nie chciała wydać Szwajcarya. „Serce polskiego wodza“ — mówił burmistrz Zeltner do deputacyi polskiej — „biło dla całego świata; niechże więc tutaj znachodzi cześć i uwielbienie całej ludzkości.“

Tak więc pozostało serce naszego bohatera na onym cmentarzu w Zuchwil, i miejsce to uwieczniono pomnikiem, który przedstawia załączona rycina. Ale i tam nie jest ono stracone dla nas. Od pół wieku miał już niejeden nieszczęśliwy wygnaniec polski przynajmniej tę osłodę, że mógł w pobliżu tego wielkiego serca spłakać swój żal i tęsknotę za krajem, a kto wie, ilu ich jeszcze będzie potrzebować tej pociechy! W naszej nieszczęśliwej Polsce, gdzie karzącej Opatrzności podobało się zostawić do czasu otworem bramy piekielne, wszystko jest możliwem, i któż może być pewnym, czy i jemu nie wypadnie jeszcze zdala od ojczyzny oblewać łzami swemi to serce, które tak gorąco umiało kochać tę ojczyznę.

FR. WALIGÓRSKI.

## CO PTACY ROBIĄ? (Z kantyczek.)

Skowronek Boga chwali,  
Słowik miłość swą śpiewa,  
Jaskółeczka się żali...,  
W pracy życie jej spływa...

Wróbel szary w gęstwinie  
Paple — o czém? sam nie wie...  
Znać szaleńca po minie,  
Znać złośnika po gniewie.

Srocza siedzi na straży —  
W czarnym stroju płaszczku,  
Coś o gościach tam gwarzy...  
Nie zrozumieć jej krzyku...

Bocian w gnieździe klekota...  
Jakby prawił kazanie,  
A skrzydłami tak miota,  
Jakby prosił was na nie.

Kos wywodzi swe trele...  
A kukułka się z cicha —  
Gdy on gniazdo uściele —  
Z jego trudu uśmiecha...

Tylko krucy, puhacze...  
Lecą z smutkiem, żałobą...  
Niosąc wszędzie za sobą,  
Wieszczby śmierci i płacze...

J. I. KRASZEWSKI.

\*) Ta Emilia, po mężu hr. Morosini, żyje dotąd w Medjolanie.



## LOS Y ŻYDÓW W WIEKACH ŚREDNICH W EUROPIE ZACHODNIEJ I W POLSCE.

W odległe czasy cofnąć się nam myśla, w czasy największego zamętu, jaki kiedykolwiek istniał na ziemi, w owe czasy, kiedy srogość i siła pięści były prawem i stanowiły o wszystkim, a ludzkość jakby na oślep z jednej ostateczności wpadała w drugą, z wyuzdanej dzikości w zbytek gorliwości w rzeczach wiary, z odszczepieństwa i ateizmu w fanatyzm religijny. Czasy to fantazyi i znaków niebieskich, epoka cudownych legend i dziwotwornych baśni, a znamieniem ich niepojęta dzisiejszemu społeczeństwu awanturniczość przedsięwzięć i śmiałość pomysłów, które cechują zarówno wypadki historyczne, jak niemniej zabytki ówczesnej poezyi i ówczesnego budownictwa.

Takim był ogólny charakter całego społeczeństwa wieków średnich, takie cechy piętnowały naówczas każdy naród, każdą oddzielną społeczność.

Krwawe walki staczali z sobą królowie, rycerz walczył z rycerzem, ścierała się idea z ideą, a w walkach tych nawet duchowieństwo czynny brało udział. Wszystko się biło, wszystko walczyło na zabój, a z tych walk dopiero kiedyś zakwitnąć miał na pobojuwisku nowy porządek rzeczy, ustalić się miały nowe idee, nowe pojęcia.

Jedna tylko warstwa ludności ówczesnej nie brała czynnego udziału w tych krwawych a ciągłych zapasach, ale co stokroć gorsza, miała w nich udział bierny.

Byli to żydzi, którzy jeszcze przez Rzymian uprowadzeni z rodzinnego kraju, rozsypani się powoli od południa i wschodu po całej Europie. Znienawidzeni, pogardzeni wszędzie, zajmowali oni po miastach najciaśniejsze zaułki, jakie im na mieszkanie wyznaczano, i oplakany wiedli żywot w nędznych domostwach swoich, które lud sfanatyzowany zamieniał niejednokrotnie w stosy ofiarne. Uciśkano i prześladowano żydów w najokropniejszy sposób. Nie pozwalano im obchodzić świąt, zmuszano z niesłychanem okrucieństwem do łamania zakonu, burzono im synagogi i nawracano ich ogniem i mieczem. Podejrzewani o związki z nieprzyjaciółmi, życiem swoim płacili za kłeski, przez tychże zadane. Przypisywano im moc sprowadzania moru przez czary, i dlatego wypędzano z każdego zakąta, a rycerze krzyżowi dążąc do ziemi świętej dla oswobodzenia grobu Chrystusa z rąk niewiernych, za pierwszy poczytywali sobie obowiązek wytepić żydów w Europie, jako potomków owego ludu, który Zbawiciela ukrzyżował.

Było to u schyłku XI wieku, gdy w zachodnich Niemczech Volkmar i hrabia Emicho Leiningen zgromadzili około siebie liczny zastęp Krzyżowników. Jeden z mnichów towarzyszących wyprawie wystąpił z uwagą, że nim

się pójdzie na niewiernych do Azji, należałoby pierwiej wytepić niewiernych w Europie. Jedno słowo wystarczyło do wzniecenia okropnego pożaru, i Krzyżownicy w pochodzie przez całe Niemcy wymordowali przeszło 12.000 żydów. W Trewirze żydzi sami siebie i dzieci swoje zabijali. Z Kolonii uciekło na okrętach około 200 żydów, lecz zawrócono ich i wymordowano bez litości. Arcybiskup moguncki Rudhard ujął się za żydami i dał im schronienie w wielkiej sali swojego zamku, ale Krzyżownicy nie uszanowali i tego przybytku i około 700 żydów wymordowali przed oczami arcybiskupa. Podobnego losu doznali żydzi w Spirze, Warmacyi, Magdeburgu i w Erfurcie. Po krótkim wytechnieniu nanowo rozpoczęły się te mordy za drugiej wyprawy krzyżowej. Około r. 1144 we wszystkich miastach nadreńskich pastwiono się nad nieszczęśliwym plemieniem, póki św. Bernard nie przybył z Francyi i kazaniami swemi nie położył tamy okropnemu krwi rozlewowi.

To samo działo się i w innych krajach Europy. Posażano ich wszędzie o kradzież i zabójstwo dzieci chrześcijańskich, o czary i sprowadzanie morowej zarazy.

We Francyi w r. 1181 król Filip August wydał rozkaz, aby w przeciągu trzech miesięcy wynieśli się z jego państwa. Zabrano im majątki, a synagogi obrócono na kościoły. Po niejakiem czasie król ujęty hojnemi dary, pozwolił żydom powrócić, prześladowanie jednak nie ustało. Uważani za niewolników, sprzedawani byli razem z ziemią, na której mieszkali. Za Filipa V. podejrzani o związki z Maurami, ginęli tysiącami na stosach.

W Anglii w r. 1189 sfanatyzowane pospólstwo rzeź najokropniejszą między żydami sprawiło, nie przebacząc ani płci, ani wiekowi. Powszechnie prześladowanie za Ryszarda doszło do tego stopnia, że żydzi sami podpalali swoje domy i zagrzebywali się pod ich gruzami. Ustawy angielskie z owych czasów utrzymywały, że nietylko sam żyd, lecz i to wszystko, co zarabia i posiada, jest własnością króla.

W Węgrzech za Kolomana, gwałtem wydawano żydówki za chrześcian, spodziewając się tym sposobem wynarodowić bodaj część znienawidzonego plemienia.

W Hiszpanii, dopóki Maurowie tym krajem władali, mieli żydzi bezpieczny przytułek, ale po upadku Manrów i tu jak wszędzie w pień ich wycinano i w najokropniejszy sposób znęcano się nad nimi.

Nigdzie przecież nie ucierpieli tyle, co w Niemczech. W pierwszej połowie XIV stulecia sekta biczowników, przeciągając po kraju procesyami, podburzała lud przeciwko



żydom, i rozpoczął się na nowo długi szereg najstraszniejszych mordów. Nowy powód do podobnego prześladowania nastąpiła w roku 1337 szarańcza, która spustoszyła Austrię i Bawaryę. Duchowni obwoływali z ambon, że ta plaga jest karą bożą za pobłażanie żydom, którzy mieli znieważyć hostyę. Lud rzucił się na żydów i bez litości pastwił się nad nimi w dobrej wierze, iż spełnia dzieło, które się Bogu podobą. Cesarz Ludwik ledwie z trudnością zdołał tę rzeź straszną powstrzymać. Tylko w Wiedniu i Ratysbonie mieszcianie ochraniaли swoich żydów. Gdy w dwanaście lat potem wybuchła zaraza morowa, mordy zaczęły się na nowo i straszniejsze jeszcze przybrały rozmia-

nych naśladowców w Zuryku, Mühlhausen, Fryburgu i wszystkich miastach nad Renem i Dunajem. W Sztrasburgu spalono na jednym stosie 900 żydów, którzy nie chcieli całować krucyfiksu, inni, którzy go pocałowali, uratowali się wprowadzając tym sposobem od śmierci męczeńskiej, ale zostali ochrzczeni. W Spirze żydzi widząc, że nie ujdą męczarni, a chcąc przynajmniej uniknąć, sami podpalali swoje domy. Toż samo stało się w Esslingen. W Moguncyi wymordowano 1200 żydów, w Erfurcie 6.000 w Lubecie 9.000. Liczba wymordowanych w Frankfurcie, Konstancji, Ulmie, Augsburgu, Halle, Monachium nie jest znana, ale zapewne i tam doszła znacznych rozmiarów.





Każdy nowy wybuch epidemii był hasłem do nowych mordów, a wybuchy takie jakże często zdarzały się w wiekach średnich! Miasta ścieśnione, obwarowane, przepełnione były ludnością, a nikt nie myślał o czyszczeniu i utrzymywaniu w porządku wązkich zwykle a ciemnych ulic. Wyziewy zatrwały powietrze i studnie. Okropne zarazy, o których wspominają dzieje wieków średnich, były naturalnym skutkiem ówczesnego urządzenia stosunków miejskich. Gdy zaś w owych czasach zaraza pojawiła się w którym większym mieście, to oczywiście najprzód w przeludnionych i niezdrowych dzielnicach żydowskich, a wówczas potrzeba było tylko jednego słowa zachęty, aby wystraszone, sfanatyzowane a chciwe łupu pospólstwo przeciwko nim podburzyć. Władze rządowe nie miały po większej części siły, aby powstrzymać tę okropną samowolę, a zdarzało się często, że mordy i pożogi były osłonięte płaszczem legalnego postępowania.

I tak tysiące żydów ginęło na stosach, na rusztowaniach i w domach własnych pod ich gruzami, płonęły całe dzielnice, gdzie nieszczęśliwa ludność dla braku miejsca ledwie się pomieścić zdołała, a rozjuszony tłumy fanatyków nie znały litości.— Koniec jednej z takich okropnych tragedij przedstawia załączona do niniejszego szkicu rycina.

W roku 1389 rozeszła się wieść w Pradze, że żydzi znieważyli kapłana idącego z sakramentami. Lotem błyskawicy obiegła ta wieść całe miasto, w jednej chwili tłumy ludu wylęły na ulice, rzuciły się na żydów i wymordowano ich trzy tysiące. Król Wacław nie tylko nie powstrzymał tej okropnej katastrofy, lecz owszem zdawał się do niej ośmielać rozjuszony pospólstwo; nie tylko bowiem nie ukarał winnych, lecz owszem uwolnił wszystkich chrześcian od zapłaty długów zaciągniętych u żydów.

Gdyby sam tylko fanatyzm religijny był główną przyczyną tego okrutnego pastwienia się nad nieszczęśliwym plemieniem, należałoby się spodziewać, że z czasem, w miarę postępu oświaty, uspokoją się namiętności i prześladowanie samo z siebie ustanie. Zachodziła jednak przytem wszystkiem jeszcze inna okoliczność, która częstokroć głównym była tych krwawych starć powodem, podczas gdy skrupuły religijne tylko jej za płaszczyk służyły.

W początkach swego przesiedlania do Europy, żydzi wszędzie trudnili się handlem i przemysłem, i już za czasów Karola W. tworzyli tu i ówdzie dość znaczne kolonie handlowe. Inaczej rzecz się miała, gdy im wyznaczono na mieszkanie osobne, najlichsze dzielnice, gdy ich ze społeczności miejskich wykluczono, gdy im zabroniono posiadać nieruchomości i odebrano możność trudnienia się przemysłem rękodzielniczym, jako przybyszom nienawistnej wiary, nie mającym prawa należyć do chrześciańskich cechów. Podczas gdy chrześciańska ludność miast rozliczne miała sposoby zarobkowania, czy to w przemyśle czy handlu, czy to na polu nauk i sztuk, w służbie wojskowej

i urzędach, żyd był od wszystkiego usunięty, wszystko mu było wzbronione; brzydzono się nim i pogardzano, upokarzano go w najdotkliwszy sposób, do tego stopnia, że przechodząc przez roгатkę, płacić musiał od siebie cło takie, jakie było wyznaczone dla trzody chlewnej. Handel mieli wprawdzie pozwolony, ale niestety podlegał tylu ograniczeniom i utrudnieniom, z takimi był połączony niebezpieczeństwami, że żadnego nie przynosił im zysku, a na rozliczne narażał ich kłopoty. Tylko handel pieniędzmi czyli pożyczanie na zastawy było im dozwolone, a to głównie dla tej przyczyny, ponieważ chrześcianie ze względów religijnych, za grzech poczytywali sobie spekulacye tego rodzaju.

Zręczni, obrotni żydzi dorabiali się tym sposobem częstokroć znacznych majątków, ponieważ skutkiem powszechnego braku pieniędzy, procenta, jakie od pożyczek pobierali, bywały zazwyczaj ogromną lichwą. Ludność chrześciańska jednak z zazdrością poglądała na bogactwa narastające w rękach skrzętnych bankierów. Od czasu do czasu odzywała się chęć zrabowania tych bogactw, odzyskania kosztownych fantów zastawnych. To uczucie zazdrości wyrodziło się z czasem w śmiertelną zawiść, której kilka wieków trwające prześladowanie nasycić nie mogło. Chęć pozbycia się wierzycieli za jakąbądź cenę dawała najczęściej hasło do wszystkich rzezi, o których wspominaliśmy wyżej, jak znowu z drugiej strony, jeżeli się łagodniej obchodzono z żydami, to dlatego, ponieważ od nich potrzebowano pieniędzy.

Tak Filip August we Francyi w r. 1181 skonfiskował żydom majątek nieruchomy a chrześcianom darował długi żydowskie z warunkiem zapłacenia piątej części tychże do skarbu królewskiego; a w kilkanaście lat potem tenże sam król przyciśnięty kłopotami pieniędzmi, łagodniejsze nadał żydom prawa. W tymże czasie w Anglii, król Ryszard prześladował ich dla zysku. Cesarze niemieccy wielokrotnie uwalniali książąt i miasta od płacenia długów żydom.

Tak więc z jednej strony zawiść i nieuskromione pragnienie gwałtownego przywłaszczenia sobie, co żyd oszczędnością i obrotnością zgromadził, z drugiej zaś strony chęć odzyskania tego, co najczęściej przez niegospodarność właścicieli chrześciańskich, dla uzyskania łatwym sposobem pieniędzy chwilowo zapotrzebowanych, przeszło w jego ręce, nakoniec zabobony i przesady podsycane przez niższe warstwy fanatycznego duchowieństwa, wszystko to spłotło się razem w jeden wieniec cierniowy na utrapienie nieszczęśliwych wygnańców, i wiek za wiekiem mijał, a prześladowanie nie ustawało, chyba na krótko, i dola żydów nie polepszała się w niczem.

Był jednak kraj jeden, położony na krańcach ówczesnego ucywilizowanego świata, gdzie nie tak jak wszędzie obchodzono się z żydami, a krajem tym, z chlubą to powiedzieć możemy, była nasza ojczyzna — była Polska.



Żydzi, którzy po długim tułactwie i cierpieniach bez końca dostawali się do Polski, znajdowali tutaj bezpieczny przytułek i gościnne przyjęcie, bo fanatyzm zarówno jak chciwość nieznanymi byli u nas, i ludność nie bardzo pochopna do przemysłu i handlu, z chęcią zostawiała żydom wolne pole działania.

Stosunki żydów polskich uregulował już Bolesław Pobożny przywilejem z r. 1621. Przywilej ten ułożony był na wzór istniejących tego rodzaju regulaminów w Niemczech, co umiejętnie udowodnił Dr. Ludwik Gumpłowicz w szacownem dziełku „o prawodawstwie polskiem względem żydów,” w wielu jednak ważnych względach różnił się od nich. Zapewniał bowiem przywilej Bolesławów żydom większe korzyści i o wiele silniej utwierdzał bezpieczeństwo tak ich własne jak i ich religii.

Bolesław mając słuszne powody lękania się, aby miast polskie, prawie bez wyjątku rządzące się prawem magdeburskiem, czyli niemieckiem, nie przywłaszczyły sobie despotycznej nad żydami zwierzchności, której skutki mogłyby stać się dla nich równie okropnemi jak w Niemczech, wyjął ich z pod sądów miejskich, a oddał pod opiekę wojewody, zalecając sądzić ich sprawy według zwyczajowych praw krajowych; zabezpieczył im wolność religii i wykonywania obrzędów, zasłonił ich bożnice i cmentarze od zniewagi, zapewnił opiekę prawną ich majątkom i osobom, oznaczył kary za gwałty na żydach popełniane, a to na zasadzie praw krajowych, zastrzegając oraz wynagrodzenie poszkodowanemu; uwolnił żydów od kwaterników, zabronił oskarżać ich o używanie krwi chrześcijańskiej, odwozić ich dzieci od religii rodziców, zalecił ludności chrześcijańskiej udzielać im pomocy w napadzie nočnym, dozwolił kupować wszelkie towary bez żadnego ograniczenia, a nakoniec uregulował stosunek ich bankierski z ludnością chrześcijańską co do pożyczania na zastawy.

Ale chociaż ten przywilej Bolesława pięknem jest świadectwem nietylko rozumu, ale i osobistych przymiotów książęcia, który go nadał, chociaż korzyści zapewnione tym przywilejem żydom polskim, mogły się nazwać niepospolitemi, niestety, nie było to jeszcze wszystko, co należało uczynić. Nic bowiem nie obmyślano w nim dla porównania nieszczęśliwych przybyszów z ludnością miejscową. Nadano im pewne swobody, to prawda; zapewniono im opiekę prawną i niewątpliwie dostateczną, to także prawda; ale w całym tym przywileju nie położono ani jednego rozporządzenia, mającego na celu przede wszystkim przywiązanie do kraju, który stał się ich przybraną ojczyzną, nie obmyślano nic dla uczynienia ich kiedyś Polakami. Zamiast poddać ich pod ogólne prawa, zapewniono

im jeden tylko, także i u nas w pogardzie będący sposób zarobkowania, lichwiarstwo, które samo z siebie było dostateczne, aby plemię to zostało u nas równie pogardzone i znienawidzone jak w innych krajach Europy.

Dopiero Kazimierz W. usiłował tej potrzebie zaradzić. Chciał on porównać żydów z całym narodem, chciał zatrzeć ile możności różnicę, jaka dotąd co do używania praw obywatelskich zachodziła pomiędzy nimi a ludnością krajów polskich. W tym celu po poprzedniczem zatwierdzeniu wspomnianego wyżej przywileju Bolesława Pobożnego i nadaniu podobnego przywileju żydom zamieszkałym w Małopolsce, wydał pod koniec życia swego nowy statut organiczny dla żydów, który jest jednym z najpiękniejszych pomników prawodawczego tego króla geniuszu. Pozwolenie żydom posiadania dóbr nieruchomości, wyznaczenie kary śmierci za zabicie żyda, przypuszczenie żydów do użytkowania łaźni miejskich porównano z chrześcianami, wolność przesiedlania się, osiadania i pobytu, gdziekolwiek im się podoba czy w miastach czy po wsiach, oto główne zasady Kazimierzowskiego statutu.

Doniosłość jego była niesłychanie wielkiej wagi. Postanowienia tak liberalne stawiały Polskę wysoko po nad wszystkimi przesady, któremi rządził się świat średniowieczny.

Niestety martwą tylko literą był w późniejszych latach statut Kazimierza W., bo inne wpływy nie pozwoliły na wprowadzenie go w życie w całej osnowie. Sprzeciwiły się temu mianowicie późniejsze synodalne uchwały i prozelityzm katolicki, który od XVII. wieku zajął miejsce tolerancyi czasów Kazimierzowskich i Jagiellońskich. Nigdy jednak nie posunęła się Polska do takich ostateczności względem żydów, jaką splamiły się inne rządy średniowieczne, i dlatego to przepełniły się ziemie polskie tak znaczną liczbą tych tułaczów, jak żaden prawie inny kraj europejski.

Toż jakkolwiek bądź później się stało, należy się zawsze chlubne w dziejach wspomnienie Polsce, a wdzięczność ze strony żydów za to, że stała się bezpieczną przystanią dla tych nieszczęśliwych rozbitków, że im udzieliła schronienia przed prześladowaniem, i opieki, jakiej nieznaleźli u najoświecieńszych narodów w wiekach średnich.

Czy i o ile odwdzięczyli się żydzi Polsce za to gościnne przyjęcie, za chleb spożywany od tylu wieków z jej żyznych ról? — pozostanie to pytanie bez odpowiedzi; niechaj sobie każdy na nie odpowie podług swego przekonania i sumienia.

*Eucyan Tatomir.*



# BIALI I CZARNI.

## POWIEŚĆ Z ŻYCIA LITEWSKIEGO.

SKREŚLIŁ JAN SYGMA.

(Ciąg dalszy.)

— A to dobre! Zkąd ci ta myśl przyszła?

— Bo to widzisz, o kontrybucyi coś przebąkują.

— Lepiej poszlij proboszczowi.

— A jak się pan ma — dodał, zwracając się do Kleckiego — słowo honoru, nie spostrzegłem.

— Mam zaszczyt rekomendować się: stroiciel fortepianów — odrzekł Jan czyniąc głęboki ukłon.

— Bardzo dobrze — słowo honoru; ta Anetka tak już mnie nanudziła z fortepianem; bardzo się cieszę, że już wystrojony. Ale może napijemy się wódki.

Jan z podziwieniem spojrział, usłyszawszy propozycję tak ryczałtową.

— Ślicznie dziękuję, ja wódki nie pijam — odrzekł.

— Wiem, że się tak zwykle mówi przed pierwszym kieliszkiem — początek we wszystkim trudny, prawda panie, hi, hi, hi, ale dalej to już pójdzie łatwiej. Janeczku!

— Słucham panicza.

— Słyszysz szelmo, karafkę ze starką i dwa bernadyńskie kieliszki przynieś tu natychmiast.

Janeczek spełnił rozkaz.

— No, do wasana.

— Niech no pan tyle nie nalewa, to za dużo.

— Pij pan, słowo honoru — starka ma czterdzieści lat.

— Ależ Ignasiu, dałbyś spokój, czy koniecznie tu pić wódkę.

— Co tobie, słowo honoru, wszędzie się musi wtrącić, siedź cicho Anetko.

— Anna zamilkła — Jan z politowaniem na nią popatrzył. Myśli ich zamieniły się za pośrednictwem kilku spojrzeń.

— Słowo honoru, kiedy pić, to pić. Znasz pan ten wiersz najznakomitszy Syrokomli czy tam Mickiewicza:

Użyjmy dziś żywota, wszak żyjem tylko raz,  
Niechaj ta czara złota nie próżno nęci nas.

Jeden tylko ten wiersz umiem na pamięć — lecz wystarcza on za wszystkie książki, bo to krótko a węzłowato cała rzecz wyjaśniona. Na to młodość, aby używać.

— A oczywiście — odrzekł stroiciel.

— Jeszcze jednego bernadynka, łyknij pan.

— Nie, już więcej nie mogę, dziękuję panu, w żaden sposób nie mogę.

— Słowo honoru, strzelam gracko; no Janek odnieś tego zającą do lodowni. Lecz co to zając, strzelać je mogę

zamrużawszy oczy; ale nie ma słomki, bekasa, którychbym od razu nie strącił i to w lot, ja zawsze w lot strzelam, nie uwierzysz pan, słowo honoru.

— I owszem wierzę. Podziwiam tylko, że taki myśliwy, taki rycerz, jak pan, który pewno nie samą tylko myśliwską dzielnie władasz bronią, nie dostał się w ręce Moskali, bo nie wątpię, żeś pan był w powstaniu.

— Hm... Co pan mówi?

— Mój brat — zauważała Anna — nie jest tak okrutny, aby miał strzelać do ludzi. Ignas do powstania nie należał.

— Tak jest, słowo honoru, bo żwierzynę — no to co innego, ale strzelać do człowieka jeszcze niewinnego, to przecie grzech.

— A oczywiście. Bardzoś pan mądrze uczynił; przynajmniej teraz pan spokojny jesteś, siedząc w swoim majątku i kwita, a tamci co poszli — cóż wygrali?

Anna popatrzyła Kleckiemu w oczy i uśmiechnęła się.

Stroiciel ostatnie wyrazy mówił tak spokojnie i serjo, że Ignas nie wiedział, jak je ma rozumieć. Urwał jednak rozmowę, bo wzmianka o powstaniu, raziąca jego sumienie narodowe, odebrała mu werwę do dalszych opowiadań myśliwskich.

— Podano samowar! — rzekł Janeczek, wchodząc do salonu.

Anna wzięła kluczyki i szybko pobiegła z niemi, aby zasypać herbatę. Na twarzy jej był żywszy rumieniec, oddech przyspieszony i serduszko głośniej pukało — zapewne dla tego, iż biegła za szybko. Wkrótce zaprosiła brata i stroiciela, i przy stole, na którym stał samowar z przyrządem do herbaty, wszyscy troje zasiedli. Po herbacie sprzątnięto szklanki i bezpośrednio po niej nastąpiła kolacya. Panna Anna okazała się wielce uprzejmą gospożą względem Kleckiego i rekomendowała mu różne wiktuały jako owoc jej gospodarskich zachodów. Gdy podano kurczęta pieczone z mizerją i Anna zwróciła na nie uwagę Kleckiego jako na delikatesę wiejską, rzekł:

— O nie wątpię, że kurczęta doskonałe, jest to najwdzięczniejsza poezya. Nazwałbym ją sielanką, która się uplastyczniła.

— Ach! jaki pan jesteś złośliwy, każde słowo moje choćby najniewinniejsze, staje się w jego ręku mieczem obusiecznym.

— Proszę pani, co mówię, to wypływa z mego przekonania.



- Co pan życzysz tej oto gałeczce?— zapytała po chwili.
- Życzę, aby się znalazła dalej nieba — bliżej ziemi.
- Czemu?
- Bo niebo nie istnieje.
- Co, co pan mówisz?

— Słowo honoru, jeszcze kieliszek w antrakcie między potrawami napić się niezaszkodzi. Ale pan może lubisz porter albo szampańskie. Janek butelkę szampańskiego i burguńskie czerwone przyniesie ze spiżarni. U nas teraz moda pić burguńskie z szampańskim, Pośrednik nasz przywiózł ten zwyczaj z Petersburga.

— Ślicznie dziękuję, ja nic nie chcę, ja wcale nie piję.

— Słowo honoru, proponowałem dlatego wódkę, że ja sam ją uważam za napój najpoważniejszy. Dawniej lubiłem szampańskie, ale przepiło się już, bo to wino szumuje jak .... resztę doszepnął na ucho stroicielowi.

— Tak jest, bardzo trafne porównanie — odrzekł siląc się na uśmiech, gdy mu jakiś sekret Ignas powiedział.

— Wiem z dobrego źródła, słowo honoru, że cesarz Aleksander, najlepszy znawca i amator trunków, nigdy już prawie nie pije szampańskiego. Na dworze teraz w największej modzie czysty arak esencjonalny, który piją tam szklankami. Lecz szczególną renomę ma starka, której w Petersburgu nawet nie wiele i drogo sprzedają, a w Moskwie do bajecznej ona ceny dochodzi. Ostatnią razą gdy byłem w mieście, widzę u cukiernika butelkę z jakąś nieznaną mnie dotąd etykietą. Co to? zapytuje. Stara wódka — odrzekł. Zkąd? — Z Moskwy. A po czemu? Trzy ruble butelka. Na próbę kazałem dać kieliszek, za który zapłaciłem dwadzieścia kopiejek. Wystaw pan sobie, gorsza od mojej. Bo to panie nie chwalać się, rzadko takiej starki jak ta. Mam jeszcze półtorę beczki, lecz zmniejsza się coraz jej ilość, bo sprawnicy, pośrednicy i wojenny naczelnik bardzo ją chwala.

— W samej rzeczy dobra.

— Jeszcze jeden kieliszek, słowo honoru, wypij pan, bo ja sam pić nie mogę, już to tkwi w moim charakterze.

Po kolacyi Klecki odjechał.

Przy pożegnaniu skłonił się pannie nie mając odwagi w inny sposób ją pożegnać, lecz Anna sama podała mu rękę; ściskając ją uczuł lekkie drzenie.

— Żegnam pana... nieprędko go zobaczymy... rzekła i spojrzała. Spojrzenie tak jasno wyrażało wewnętrzne usposobienie jej duszy, iż wszelki komentarz byłby zbędny.

— Aż się fortepian rozstroi — odrzekł uśmiechając się.

— E — nie, słowo honoru, na polowanie przyjeżdżaj pan do mnie.

— Ciągłe zajęty w moim fachu, wątpię, abym się mógł stawić.

— Przyjeżdżaj pan, przyjeżdżaj.

Rozstawszy się z Janem, Anna wróciła do swego po-

koiku, usiadła przy stoliku, oparła się na rączce i zamyśliła.

## II.

Ten sam parobek Wasyl, który przywiózł Kleckiego, odwiózł go teraz do prowincjonalnego miasteczka, lecz zaprął lepszego wierzynka, który ciągnąc wózek dobrym kłusem, w półtorę godziny stanął u celu. Celem tym była jedna z traktyerni małego miasteczka, przed którą się Jan kazał zatrzymać, wyraźnie nie chcąc, aby właściwe jego mieszkanie było Wasylowi wiadome. Pożegnawszy parobka dwuzłotówką na wódkę, małemi uliczkami udał się w przeciwną stronę miasteczka. Wszyscy mieszkańcy już spali, i światła w domach były pogaszone, oprócz jednej chałupy samotnie stojącej nad brzegiem rzeki, która tam płynęła. W jednym okienku od tyłu połyskiwało światelko. Jan zapukał do drzwi i wkrótce mu utworzono. Chałupa składała się z sieni, w której odzywały się w improwizowanym kurniku gęsi i kury, i dwóch izb po obu stronach położonych. Z prawej strony mieszkali właściciele domku z liczną familią i służącą, która oraz była kucharką. Z lewej zaś strony odwynajmowali mały pokój, pomimo swej szczupłości jeszcze przepierzeniem oddzielony, kilku młodzieńcom trudniącym się odpisywaniem urzędowych papierów w miejscowem policyjskim uprawnieniu (zarządzie policyi.) Żaden z nich nie miał służby urzędowej, lecz stanowili rodzaj dyurnistów, z pensją jednak regularną co kwartał wypłacaną. Było ich czterech. Każdy znał dokładnie prawa rosyjskie, bo jeden z nich niedawno pełnił urząd naczelnika stołu w powiatowym ratuszu, drugi był sekretarzem sądu powiatowego, dwaj inni też podobne zajmowali posady.

Wypadki 1863 roku i ich następstwa sprawiły, iż utracili służbę formalną, ponieważ byli katolikami. Przedtem urzędując brali po 20 — 25 a nawet 30 rubli pensyi miesięcznej, co w małym miasteczku na przyzwoite utrzymanie wystarczało. Następnie opłata ich wraz z stratą posady i degradowaniem na dyurnistów z 25 spadła do pięciu rubli miesięcznie. Nawet i w powiatowym miasteczku trudno było utrzymać się z tego. Pomieszkanie bowiem wraz z wiktem, gdyby jedna tylko osoba mieszkała, kosztowało właśnie pięć rubli. Dzieleni się więc mieszkaniem, dzielili się i wiktem. W skutek tego pozostawało jeszcze każdemu z nich po półtora rubla. Jeden rubel na odzienie, a pół na potrzeby zbytku, jakoto herbatę wymoczoną z przekąską i trochę tytoniu zwanego machorką \*). Pomimo nędzy materyalnej, co w przekonaniu niektórych przyczynia się do występków, ludzie ci stali moralnie wyżej od niejednego bogacza. Każdemu z nich proponowano prawosławie,

\*) Najgorszy tytoń w Rosyi tak się nazywa.



po przyjęciu którego mieli dostać świetne posady urzędowe, lecz żaden nie przystał przenosząc nędzę nad hańbę.

Z największym narażeniem, czegoby może w tych czasach nikt nie uczynił, przyjeźli do siebie na mieszkanie Kleckiego, któremu nie ze względów finansowych lecz innych powodów zależało na tem, aby mieszkał w jakiejś dziurze zapadłej, mogącej ujść baczności policji.

— Dobry wieczór, jak się macie — rzekł Jan wchodząc do izby.

— Dobry wieczór! dobry wieczór!

— Przepraszam was, żem się zapoźnił, lecz nie z własnej winy, a wy oczekując na mnie dotąd nie kładliście się.

cię tu nie znajdzie; przecież u nas jako kwasi-urzędników policji, chociaż katolików, nie robią jednak rewizji.

— Słuchaj Klecki — przerwał inny — u nas jesteś bezpieczny, ale strzeż się będąc gdzieindziej; za odważnie jeździsz po wsiach w takich czasach bez paszportu. Mogą cię przytrzymać.

— Pal ich diabli, niech biorą, byłem raz będę i drugi.

— To, żeś niemeldowany — ciągnął blondyn — to mniejsza, lecz ja ci pokażę coś gorszego.

— Cóż?

— Chodź bliżej do światła.

Zbliżyli się do lampki olejnej, blondyn wyjął z kie-



Niech będzie pochwalony — rzekła Anna, wchodząc do chaty. (str. 134.).

— Nie, kończymy jeszcze przepisywania, jakieś ekstrennyja bumagi (nadzwyczajne papiery rządowe) same łotrostwa, które za pośrednictwem rąk naszych rozchodzą się po powiecie do stanowych i gmin; no, lecz cóż robić, żyć potrzeba.

— Powiedźcie mi szczerze... lękam się, abym nie przyczynił się do utraty i tych nędznych miejsc waszych. Za odważnie może przechowujecie mnie człowieka nie meldowanego i bez paszportu.

— Bądź spokojny! — odrzekł jeden z obecnych — nikt

szeni jakąś kartkę i dał ją Janowi.

— Co to jest? zkąd to masz? — zapytał Klecki zdziwiony.

— Poznałeś?

— To moja fotografia w Wilnie zdejmowana; zkądżeś ją dostał?

— Prościutko z policji. Dał mi ją sekretarz, który sądzi, że ja oddany rządowi i wyszpieguję osobę poszukiwaną.

— A to dobre.

— Fotografję twoją w kilku egzemplarzach nadesłano z gubernatorskiej kancelaryi, wraz z listem gończym i se-



kretnem predpisaniem (instrukcją), aby szukać osobistość, którą wyobraża. W policji dziś mówili, że gubernator — który w tych dniach przez sztafetę odebrał list gończy — wścieka się ze złości, bo przypatrzwszy się fotografii miał poznać, że ważny przestępca polityczny stroił u niego fortepian, pił herbatę, rozmawiał z nim i przez kilka tygodni najbezkarniej chodził sobie po mieście i pod obcym nazwiskiem jawnie dał się poznać. Dodam ci jeszcze, że twoją fotografię nietylko do wszystkich stanowych ale nawet i do wołosnych prawlenii (gmin) rozesłano, tak że w tej chwili najmniej kilkadziesiąt egzemplarzy jej krąży po całej Litwie.

— Bardzo mię to cieszy, tanim kosztem mogę uzyskać rozgłosną sławę; ale pokażno mi ją jeszcze.

Jan począł się bacznie wpatrywać w fotografię.

— Głupcy Moskale! — rzekł po chwili — Słuchajcie koledzy, ma z was który brzytwę?

— Ja mam — odrzekł jeden.

— A to proszę cię, daj mi ją zaraz.

— Co chcesz robić! co chcesz robić! — zawołali wszyscy z niepokojem i otoczyli go.

— Zobaczycie co zrobię, dajcie mi tylko nożyczki i brzytwę.

Gdy mu dano te narzędzia, usiadł przed małym rozłuczonym lusterkiem i dużą brodę poobcinał z dwóch stron nożyczkami, potem zaostrzył ją i podgolił.

— No widzicie teraz, na co potrzebowałem brzytwy. Długa moja broda, podobna do brody Mierosławskiego, zmieniła się teraz na bardzo lojalną hiszpankę. Jestem sobie Hiszpan, Francuz, Niemiec, co chcecie, słowem stroiciel fortepianów przybyły z zagranicy. To mi nawet da większą renomę. Niebieskich okularów nie zdejmuję, przedtem ich nie nosiłem. Niechaj teraz szukają ile chcą, tego co podobny do tej fotografii, przedstawiającej mnie z długą brodą.

— Tylko ostrożnie, tylko ostrożnie! — odrzekli.

— To dobrze — dodał Jan — że w waszym miasteczku jeszcze nikomu nie stroiłem fortepianów, tylko na prowincji; ale w miasteczku nie znają mnie takim, jakim jestem na fotografii. Dziś za pośrednictwem traktiernika dostałem już zawezwanie na jutro do sprawnikowej. Pójdę śmiało. Sprawnik nie będzie tak bezczelny, aby w swoim mieszkaniu cudzoziemca pytał zaraz o paszport. Moskale mają respekt dla ludzi zagranicznych. To pewna, że ani dotknę kamertonu bez dziesięciu rubli, niech płacą te ździery i wziateczники. Biorą u innych, to ja im też za moją pracę grubo zakroję.

### III.

W tydzień po wyjeździe stroiciela fortepianów o godzinie dziesiątej wieczorem do pokoiku Anny weszła służąca jej Antosia.

— Cóż proszę pani — zapytała — czy pójdziemy?

— Zaraz, zaraz — ale powiedz mi Antośko, czyś zapy-

tała, jakem ci mówiła u ekonoma, kiedy panicz z miasta powróci? Mnie mówił, że za trzy dni, a cóż powiedział rządca?

— Gdzie tam za trzy dni; ekonomowa mówiła mnie, że na własne uszy słyszała, jak panicz powiedział jej mężowi, że chyba aż za tydzień.

— No to dobrze — daj mi chustkę i kalosze, i pozabieraj te pudełeczka. Jest tam magnezja, rumianek, centurja, krzyżyki, obrazki i wstążki. Tylko proszę cię Antośko, pochowaj dobrze, żebyś tego mi nie pogubiła po drodze.

— Niech panienka będzie spokojna. Ale dzisiaj — rzekła — dobrze się złożyło. Właśnie w chacie Janowej odbywają się wieczorynki. Podług zwyczaju na takich zabawach tylko kobiety i dziewczęta bywają, a chłopcom wstępu nie ma.

— No no idźmy, bo będzie późno. Anna ze służącą ostrożnie wymknęły się z domu. Wyszły do ogrodu i dobrze znaną sobie drożyną, oraz manowcami między zbożem przesunęły się niepostrzeżone aż do wioski. Zaszły od strony ogrodów koło gumien i weszły na dziedziniec chaty nie przez wrota lecz furtką od tyłu, którą zwykle włościanie zboże z pola przywożą. Chata Janowej, do której weszły, była oświetlona łuczywem. W wysokich podstawkach drewnianych, niby to lichtarzach rozszczepionych u góry, były utkwione kawałki palącego się łuczywa. Takich lichtarzy kilka stało na ławach w okrąg stołu, przykrytego acz grubym, czystym jednak obrusem. Przy stole siedziało kilka starych bab i dziewcząt, które śpiewały. Na kominie palił się ogień. Przy nim stał żelazny trójnóg, na którym w patelni smażyła się jajecznicza.

— Niech będzie pochwalony — rzekła Anna wchodząc do chaty.

— Na wieki! — chórem odpowiedziały zgromadzone. Powstawały co rychlej z ławek i zawołały: to nasza panienka. Z kolei zbliżały się do Anny i każda pocałowała ją w rękę, każdej też jakiś prezent dała Anna. Chorowita staruszka dostała rumianek w paczce zwinięty, inna magnezję lub centurję, dziewczęta zaś rozkoszowały się widokiem jaskrawych wstążek, które uzyskały w podarunku. Poczem zaproszono Annę na ucztę, usadzono ją na pierwszym miejscu, i rozpoczął się traktament, składający się z jajecznicy, obwarzanków i kawałków sera. Napój zastępujący wino damskie Muscat-Lunel, składał się z wody miodem zaprawnej, którą nazywają syto. Anna dla formy musiała wszystkiego potrochę skosztować, bo znając słowiańską gościnność ludu wiedziała, iż z niedowierzaniem spogląda na tych, którzy jego darami pogardzają.

— Cóż tam słyhać u was we wsi? — zapytała.

— Żle panienko, cerkiew już zbudowali, parafii u nas nie ma, nie mamy gdzie modlić się, a niektórzy prawosławie taki poprzyjmowali.

— Nie przyjmujcie — rzekła Anna — nie ważcie się zmieniać wiary pradziadów.



Baby westchnęły.

— Jędrzej ten, co to był starostą, nie chciał przystać, więc jak był wojenny naczelnik, to go kazali oćwiczyc.

— A mój — rzekła inna szlochając — niech mu pan Bóg nie pamięta, był zawsze pijakiem, to też i przyjął prawosławie za pięć rubli; a bodajby się on lepiej był na świat nie rodził.

— A piekło?! — odrzekła Anna — Za pięć rubli tych będzie w piekle.

Baby wzdychały a wzdychały, ciekawie przysłuchując się słowom panienki.

— Nie przyjmujcie prawosławia — powtórzyła — Jędrzeja oćwiczono, no, wielkie rzeczy; nie umarł przecie, a za wytrwałość w świętej religii czeka go królestwo niebieskie, będzie ot tam w górze, w pokojach błękitnych słońcem pozłożonych; no nie widzicie co dzień, jak tam jest ładnie w górze na niebie, nie domyślacie się, że dobrze tam będzie po śmierci tym, co żyli cnotliwie.

— Prawda panienko, ty nasza królewno.

— A tym — mówiła Anna — którzy odważyli się wiarę ojców swych zmienić, będzie na tamtym świecie piekło, miejsce straszliwe. Potępieni za grzechy swoje będą w gorącej smole pokutować. Nie przyjmujcie prawosławia, mówię wam. Wielkie rzeczy, że straszą. Takieżto męki wytrzymywali pierwsi chrześciance. Nie słyszeliścież od księdza, jak św. Szczepana męczennika za wiarę ukamienowano, a niewinnych młodzieńców żywem do gorącego pieca wsadzano. A oni kto byli? ludzie — a my kto jesteśmy, tacy ludzie jak i oni. Mogli oni cierpieć, to i my również możemy silnie przy wierze naszej katolickiej obstawać. Niechże mnie nawrócą na prawosławie! — dodała w uniesieniu.

— Oj prawda, święta prawda, dziękujemy panience; nikt z nas prawosławia nie przyjmie.

— Wszak i Chrystusa Pana szatan kusił, jak was wojenny naczelnik, i chciał kamienie w chleb zamienić, obiecywał bogate miasta, a jednak nie skusił. Bóg cierpliwy do pewnego czasu pozwala szatanowi działać, lecz potem kładnie tamę nadużyciom złego ducha.

W czasie tej rozmowy Anny z wieśniaczkami, na ulicy we wsi już było całkiem ciemno, lecz rześiste światło padało z okien tej chaty, w której odbywały się wieczorynki. Jakaś postać wysoka, w długi strój czarny przybrana, ostrożnie sunęła się przez ulicę, aż doszła do oświetlonej chaty, zajrzała w okno i dokładnie widziała, co się dzieje wewnątrz.

Był to pop, świeżo przez rząd do tej wioski sprowadzony, w celu propagowania rosyjskiego elementu i zasad prawosławia między ludem. Chodziło mu teraz tylko o nacoczne przekonanie się, o czem przedtem już miał ustne wiadomości. Wiedział on, że panna Anna Olska, znana w okolicy jako patryotka, pozną porą chodzi do wsi i agituje w duchu katolickim. Jedna z kobiet o długim języku, ucze-

szczająca do Janowej na wieczornice, pod sekretem wyznała żonie djaka, co słyszała od panienki. Żona powiedziała mężowi, a ten pospieszył zawiadomić popa.

Pop w propagandzie swojej napotykał niemało trudności. Lud w tej wiosce nie chciał zmieniać religii z wyjątkiem tylko wyrzutków wioskowego społeczeństwa. Lecz i tych była liczba nazbyt szczupła, aby się nią mógł popisać w obec władzy wyższej. To go niezmiernie złościło, dlatego zastanawiał się nad przyczyną tak systematycznego oporu, aż naraz wpadł na trop. Widział teraz sam, że panna Olska siedzi w chacie i ma przemowę do zgromadzenia. To mu wystarczało. Nie wahał się ani chwili, i nazajutrz o świcie jeszcze pojechał do stanowego z donosem na Annę.

#### IV.

W Rosji prowincjonalny zarząd policyjny składa się ze sprawnika i kilku przystawów, z których każdy ma w powiecie osobny rewir powiatowy, nazywający się po rosyjsku stan. Od źródłosłowa stan, przystawy czyli komisarze policyjni mają nazwę stanowych przystawów. Sprawnik rezyduje w mieście powiatowem i tam, jak niemniej w całym powiecie, ma szczególnie teraz ogromną władzę. Jest tem, czem gubernator w gubernii. Sprawnik dawniej z wyboru szlachty pochodzący, dzisiaj jest najzupełniej rządową figurą i stosunkowo znaczną, bo dwa tysiące rubli rocznej pensji pobiera. Stanowy, którego pensya dawniej nigdy wyżej nad czterysta rubli nie sięgała, teraz pobiera ośmset kilkadziesiąt, oprócz tego na utrzymanie koni i inne wydatki podróży, co razem przeszło tysiąc rubli stanowi. Tak znaczne podwyższenia pensji u urzędników policyjnych wypłaca się z kontrybucyj, wyzyskiwanych u obywateli Polaków.

Stanowy w tej części powiatu, gdzie mieszkała panna Anna Olska, nazywał się Hryhorjew, przed kilkoma miesiącami wypisany z głębi Rosyi przez Murawiewa, bo dawnego jako katolika usunięto. Hryhorjew był prawdziwym patryotą rosyjskim w murawiewowskim tego słowa znaczeniu. Czuł on posłannictwo swoje polegające na tem, aby ze swej strony jak najbardziej przyczyniać się do wynarodowienia Litwy.

Uważał się jednak za człowieka postępowego i literata, gdyż niekiedy korespondencye do Wileńskawo Wiestnika pisywał, znał trochę francuski język i kilka dzienników rosyjskich prenumerował. We względzie służby rządowej ściśle trzymał się litery prawa, prawa murawiewowskiego, to jest brzmienia cyrkularzy. Niektórzy z Rosjan nawet czynili mu niekiedy uwagi, że przecie nie godzi się tak pastwić nad Polakami, że i oni są ludźmi.

Hryhorjew odpowiadał, iż żadnego nadużycia nigdy nie popełnił. Cyrkularze zabraniają podróżować bez paszportów, więc aresztuje każdego, który go nie posiada. Zabra-



niają, aby bez pozwolenia policyi zjeżdżało się kilku lub kilkunastu obywateli w jedno miejsce, więc rozpędza kozakami i dziesiętnikami zgromadzenia, jeżeli je gdzie jako nieprawne napotka. Rząd zabrania mówić po polsku, więc za każde słowo w tym języku wyrzeczone ściga sztrof, a nieposiadającego pieniędzy aresztuje i sadi do więzienia. Rząd każe zyskiwać kontrybucje sposobami najsurowszemi, więc Hryhorjew każe ostatnią krowę wyprowadzać z obory i sprzedaje ją za dwa ruble. Czyż popełnia nadużycia, czyż chociaż w czemkolwiek rozmija się z istniejącem teraz na Litwie prawem?

Nie rozmijał się z niem w przeciągu kilku pierwszych miesięcy swojej służby, lecz następnie zaszła z nim zmiana. Zmiana stanowcza, wynikająca z przyczyn czysto wewnętrznych i psychologicznych. Gdy po raz pierwszy ujrzał Annę Olską, popatrzył w niebieskie jej oczy, niepospolitym wdziękiem odbijające od białej twarzy, zapomniał o cyrkularzach i obowiązkach służby i z tyrana zmienił się na urzędnika łagodniejszego, wiele rzeczy tolerującego i tylko w razach ważniejszych występującego z dawną energją. Miłość ku prześlicznej Polce pogodziła go z Polakami, których przedtem fanatycznie nienawidził. Anna piękna Polka, Anna stała mu w myśli i sercu wywołując uczucie, na jakie stać go było. Nie mógł zajmować się sprawami biurowemi z dawną gorliwością i oddał cały zarząd stanu w ręce swego pisarza. Sam był zajęty czem innem. W tym dniu przed południem, gdy pop przyjechał z donosem, za stołem przy plikach papieru siedział pisarz Hryhorjewa, a on trudnił się zawieszaniem rycin na ścianach swego mieszkania, które oraz stanowiło zarząd policyjny. Był to dom dosyć duży, tak, iż oprócz przedpokoju, kuchni, aresztu policyjnego, izby dla żandarmów i kozaków, Hryhorjew miał jeszcze do rozporządzenia siedm pokojów, wygodne składających pomieszkanie. Chodziło mu teraz głównie o to, aby je umeblować jak najozdobniej. Gdyby się kto zapytał, jaki powód tak niezwyklej elegancyi, na którą się silił, nie wyznałby szczerze, dla czego to czyni, bo w charakterze Rosjan jest, że są niezmiernie skryci. Przyczyna reformy co do mebli spoczywała w nim jako tajemnica; niekiedy tylko przed pisarzem, zasługującym u niego na zaufanie, wspominał o swoich zamiarach.

Na tej sofce — myślał — będzie siedzieć, na tym szesławgu czytać książkę. Gotówem nawet Mickiewicza dla niej sprowadzić, niech czyta, niech robi co chce, byle była tu ze mną i zawsze.

— Proszę pana — zapytał pisarz — czy pan sam pojedzie do Wiśniczek (tak się nazywał folwark Olskich), bo tu kilka interesów się nabierało, a same ekstrenne papiery. Jeden rozkaz do sprawnika, aby z panny Anny ściągnąć dwadzieścia pięć rubli strofu za to, że sam ją widział, jak ostatniej niedzieli była w kościele w czarnej sukni. Drugi, trzeci, czwarty i piąty papier też o pannie

Annie. Mieści się w nich rozkaz, aby ściągnąć sztrofy za odwagę publicznego rozmawiania po polsku. Razem sztrofów na sumę 125 rubli i 33½ kopijek. Oprócz tego napisano, aby przypomnieć ustnie pannie Annie, że jeśli nie zmieni zuchwałego postępowania, to będzie aresztowaną i wysłaną na wygnanie do jednego z miast wielkorosyjskich.

— Schowaj pan wszystkie papiery pod zielone sukno (*ad acta*).

— Ależ panie, na każdym napisano bardzo pilno, to interes kazienny (rządowy).

— Sprawnik mój przyjaciel — odrzekł Hryhorjew, uwag mnie żadnych nie robi, chociażbym się nawet i opieszalym okazał w spełnieniu jego rozkazów. Zresztą ja przeciwko pannie Annie działać nie mogę. Ściągać z niej sztrofy, czynić napomnienia i robić nieprzyjemności jej — ja mam robić nieprzyjemności pannie Annie?... A to już wolę wziąć brzytwę i na gardle ją swoim wyostrzyć, wolę służbę postradać. Nie, ja tych rozporządzeń ani sam egzekwować nie będę ani panu nie pozwolę.

— No, to wręście jak pan chce, ja odpowiadać nie będę.

— Słuchaj — rzekł po chwili Hryhorjew — jak sądzisz, czyby panna Anna poszła za mnie?

— Polka? — odrzekł.

— Oj prawda, że Polka.

— Coby rząd na to powiedział, gdybyś się pan z Polką ożenił.

— Mniejsza o opinię rządu. Wyrażnego przecie zakazu nie ma żenić się z Polkami. Wręście rzecz tę i wobec rządu możnaby wystawić w innem świetle. Mogę powiedzieć, iż żenię się dla zaszczipiania rosyjskiego elementu z pobudek patryotycznych. Ale ona czy zechce?

— To też to, taka fanatyczka, ona Rosjan cierpieć nie może.

— A nuż potrafię się jej podobać.

— Dobraże utro! (dzień dobry) — rzekł wchodząc wysoki pop brodaty.

— Jak się macie, batiuszka? (ojcze) Siadajcie, cóż tam u was słyhać, nie byliście przypadkiem we dworze, czy Olscy w domu?

— Dziękuję — odrzekł — siadać nie mam czasu, w ważnym interesie przybyłem do pana.

— Cóż się tam stało?

Pop wyjął z zanadrza arkusz zapisanego papieru i oddał go stanowemu.

— Jest to — rzekł — odezwa do Waszego Błahorodja z ważnem doniesieniem, kontrasygnowanem przez djaka i panamara. Jest także pieczęć cerkiewna, wszystkie formalności dopełnione.

Hryhorjew wziął papier i począł przeglądać. Wprawne jego oko od razu spotkało się z nazwiskiem Anny Olskiej, w środku donosa wypisanem.

— Jaką pretensję macie do panny Olskiej — zapytał — co ona wam ojciec zrobiła?



— Buntownicza ta — odrzekł — buntuje chłopów, aby nie przyjmowali prawosławia.

— Buntownicza — wycedził spokojnie Hryhorjew, chcąc obojętnością zamaskować wewnętrzny wulkan gniewu, który uczuł względem popa. — Widać, że dużo nabroiła, gdy się tak o niej wyrażacie.

— A co mam rzecz obwijać w bawełnę.

— Bardzo to pięknie — rzekł Hryhorjew — że donos podpisany przez panamara i djaka \*), ale czy macie inne jakie dowody, o prawdziwości faktu przekonywające. Ja mam dużo interesów, nie mogę rozpoczynać śledztwa na chybił-trafił. Wybaczcie ojczy, że zrobię spostrzeżenie, które zresztą osobiście się was nie tyczy, iż djaki i panamar muszą spełniać to, co świąszczennik im każe, więc i podpis tam kładną, gdzie chce.

— Co to, masz pan mnie za kłamcę? Czy to tak z osobą duchowną się postępuje, takim to pan jesteś urzędnikiem? Rzecz jasna jak na dłoni, interes rządowy, a pan mnie nie wierzysz i uważasz mnie za błazna jakiegoś.

— Niech się kochany ojciec nie unosi, mówię z wami dosyć grzecznie i nie użyłem wyrazów, jakieście sami do siebie zastosowali.

— Co tam mi pan gadasz bzdurstwa — przerwał pop — Kiedy tak, to ja znajdę władzę wyższą i pan będziesz odpowiedzialny. Jadę na skargę do sprawnika, potem do archireja i gubernatora i pokażę, że inne czasy teraz i że władzę duchowną należy szanować. Ja pana nauczę — dodał w uniesieniu.

— Nauczysz mnie, a czego? W każdym razie za naukę będę mu wdzięczny, a teraz ze swej strony radzę, udać się wprost do Petersburga. Szczęśliwej podróży wam życzę, bądźcie zdrowi kochany ojczy. — Pop rozwścieklony trzasnął drzwiami, siadł na wózek i dobrym kłusem popędził wprost do powiatowego miasteczka na skargę już nie na Olskę, lecz na stanowego.

— A jaki gorączka — rzekł Hryhorjew — ktoby się tego po nim spodziewał, nie dość że grozi, jeszcze drzwiami stuka.

(C. d. n.)

## K R O N I K A.

### Z kraju.

(Nadużycie i znieważanie słowa), tego najszybciej wyrazu ducha bożego w człowieku, było i będzie zawsze dowodem wielkiej upadłości moralnej w społeczeństwie, a u nas nie brak dziś niestety takich dowodów! Przykra to rzecz ganić siebie samych, ale przykrejsza jeszcze być ganionym od innych; lepiej jest rumienić się przed sobą, niż przed obcymi, bo świadomość błędu jest najlepszą rękojmią poprawy. A czy nie wypada nam dziś rumienić się przed sobą, czy śledząc sumiennie najnowsze objawy naszej prasy peryodycznej nie powinniśmy sami ocknąć się na pochyłości, po której staczamy się coraz niżej? Bo dokądże na Boga — doszliśmy już teraz?! Byle poważny się ktoś nie podzielać naszego zdania, jest dostateczny już powód, by go uraczyć całym zasobem frazeologii karczemnej, oplwać i obłoczyć, a nawet odsądzić od czci i wiary, chociażby był najzaczciwszym człowiekiem i najlepszym patriotą. Interes najwyższy — bo racja bytu — nakazuje nam skupiać wszystkie siły w jednym obozie narodowym, a my w imię jakichś zasad najczęściej źle zrozumianych, w imię stronnictw gwałtem kleconych staczamy walki tak ubliżające własnej godności, jak ów rabin z mnichem w „Dyspucie“ Heinego, zapominając o tem, że słowo musi się stać ciałem — nie błotem — ażeby mogło mieszkać pomiędzy nami. Nam potrzeba rąk do budowy, a my nieogłędnie pozbawiamy się ich sami, depeząc choćby najlepsze, dlatego tylko, że nam się nie podoba, rzucając bezwzględnie anatema nie tylko na osobistości ale nawet na całe klasy społeczeństwa, niepomni — że popełniamy tem zbrodnię samobójstwa. Prawda, że społeczeństwo nasze nie jest

ideałem doskonałości, jak nie jest nim żadne społeczeństwo ludzkie; prawda, że są rozmaite wady i zdrożności do prostowania i karcenia; — ale czyż dlatego powinna iść w poniewierkę godność słowa, i czyż kałem można zmyć jakąkolwiek plamę? W najnowszym czasie spotęgowała się walka ta w publicystyce świeżem jeszcze i najniebezpieczniejszym czynnikiem — humorystyką; ale jakżeż my niestety mylnie go pojmujemy! Dowcip i humor są bez wątpienia bardzo potężną bronią moralną, lecz wtedy tylko przynoszą pożytek, gdy śmiejąc uczą, a ranę jątrzą dlatego tylko, ażeby wywołać szlachetną reakcję i przyspieszyć tem zagojenie jej; nigdy zaś wtedy, gdy obrażają najtkliwsze uczucia człowieka i zapuszczają żądło aż do krwi serdecznej dlatego tylko, ażeby się zemścić na przeciwniku. A cóż dopiero mówić o otwieraniu śluz osobistym namiętnościom, o przekraczaniu szanowanych w społeczeństwie form i granic przyzwoitości? Taki humor zaprawdę ani rozśmieszy słuchacza, ani poprawi dotkniętego, i strzała jego zwraca się ostatecznie przez loiczną elewację przeciw temu, kto ją wypuścił. Że takich stron ciemnych jest bardzo wiele w dzisiejszych publikacjach humorystycznych, to każdy przyzna; a czyż tak nisko już upadliśmy, że popisujemy się nimi bez zarumienienia? Ocknijmyż się dlaboga, jeżeli chcemy służyć dobrej sprawie; niech dowcip nasz nie będzie ową gąbką nasyconą żółcią i octem, którą podawano konającemu Chrystusowi, i niezapominajmy nigdy o tem, że słowo to świętość, której poniewierać się niegodzi!

(Nowe wydawnictwa artystyczne). Mało który z zakładów fotograficznych nie tylko w kraju naszym, ale w ogóle w całej Polsce może poszczycić się taką przedsiębiorczością, połączoną nieraz z ofiarami nawet, jak znany zaszczytnie

\*) Śludzy cerkiewni w Rosji.



zakład tutejszy p. Teodora Szajnoka; i niejestto pochlebstwo, lecz najczystsza sprawiedliwość, którą oddać mu potrzeba. Dopiero świeżo otrzymał kraj za staraniem jego piękne „Album pamiątek żółkiewskich“, a już znowu możemy donieść z prawdziwą przyjemnością o innych dwóch przedsięwzięciach artystycznych, które p. Szajnok publiczności polskiej przysłużyć się zamierza. Jedno z nich ma na celu wydanie drugiej seryi „Wieczorów zimowych“ naszego nieodżałowanego artysty-malarza Artura Grottgera; drugie zaś przeznaczone jest na uczczenie pięćsetletniej rocznicy ogłoszenia statutów wiślickich i w ogóle pamięci Kazimierza Wielkiego, który Ruś Czerwoną wraz z Lwowem przyłączył do Polski. Ma to być dokładny historyczny opis miasta Lwowa, z dodaniem kilkudziesięciu fotografii, przedstawiających najciekawsze osobliwości naszego miasta. Opracowaniem części literackiej ma się zająć komitet redakcyjny, w którego skład wejdą wszyscy ludzie fachowi, jakich Lwów posiada. Przy tej sposobności nadmienić też musimy, że w powzięciu tej chwałebnej i godnej poparcia myśli przyznać potrzeba niemalą zasługę doktorowi praw p. Stanisławowi Kunasiewiczowi, którego niezmordowanej gorliwości zawdzięcza już Lwów uratowanie od zagłady kilku swoich zabytków historycznych.

(Stuletnia rocznica konfederacji barskiej). Obchodzenie wielkich rocznic historycznych jest niezawodnie jednym z najskuteczniejszych środków do krzepienia ducha narodowego, i nie tak nie rozbudza uczuć patriotycznych, jak rozpamiętywanie świetnych przykładów poświęcenia i szlachetnych usiłowań przodków, podejmowanych dla dobra ojczyzny. O tej prawdzie widzieliśmy wszyscy oddawna, ale do niedawna jeszcze zmuszała nas żelazna konieczność wyrzekać się jej zastosowania. Dziś jednak, gdy duch czasu zerwał już ohydne pęta, które fałszywa polityka przez długie lata krępowała narodowość naszą, byłoby z naszej strony winą nie do przebaczenia, gdybyśmy pomijali milczeniem takie rocznice; i dlatego należy się słusznie cześć i wdzięczność tym, którzy na d. 26. lutego podjęli myśl uroczystego nabożeństwa i nastroczyli przez to ludowi sposobność do uczczenia rocznicy tak ważnego faktu historycznego, jakim jest „konfederacja barska“, ten wielki prolog stuletniej walki narodu polskiego o niepodległość. Podobnie jak u nas, obchodzili tę rocznicę także nieszczęśliwi bracia nasi na tulaćwie, w Szwajcaryi, w Belgii i we Francyi, a w Paryżu powziął przy tej sposobności p. Władysław Mickiewicz myśl wydania pod nazwą „Czarnej księgi“ wszystkich dokumentów politycznych, dotyczących się sprawy polskiej, zaczawszy od pierwszego rozbioru Polski aż do najnowszych czasów, i przedłożyć ją wszystkim gabinetom europejskim.

(Wystawa obrazów), urządzona przez nasze Towarzystwo przyjaciół sztuk pięknych, trwa już od kilku tygodni, ale z żalem wyznać musimy, że nie znachodzi takiego udziału w publiczności, jakby życzyć wypadało. Że winę tego przypisać potrzeba po największej części nieusprawiedliwionemu uprzedzeniu przeciw temu towarzystwu pewnej części publiczności, to rzecz niewątpliwa — ale zaprawdę bardzo smutna. Pozostawiając sobie na później obszerniejsze ocenienie tej wystawy, ograniczamy się teraz tylko na wymienieniu znakomitszych artystów, których utwory znajdują się już na wystawie. Ci są:

J. Matejko, W. Gerson, J. Kossak, H. Rodakowski, Fr. Teppa, Aleks. Kotsis, Alf. Schoupe, M. Piotrowski, Wal. Elias, Kaz. Mirecki, Flor. Zink, Aleks. Raczyński, D. Penther, Kor. Szlegel, Art. Grottger, Ant. Grabowski, Gryglewski, Szermontowski, Szynalewski, Brodowski.

(Odczyty popularne), których miewamy teraz aż cztery tygod., mianowicie we wtorki i soboty odczyty p. H. Schmitta, we środę na dochód stowarzyszenia bratniej pomocy uczniów gimnazjalnych, a w niedzielę na dochód stowarzyszenia wzajemnej pomocy mieszczan lwowskich, obudzają bardzo korzystne zajęcie w ludności miejskiej i szerzą coraz więcej pragnienie takiej nauczającej rozrywki umysłowej. Niewszystkie one wprawdzie odpowiadają warunkom popularności, ale zasze zyskuje na tem oświata, chociażby tylko setna część wykładu przyjęła się w słuchaczach. Nie mówimy tego o wykładach historycznych p. Schmitta, tych bowiem bez zaprzeczenia wielką wartość dostatecznie już wykazaliśmy; ale i innych odczytów mieliśmy już kilka tak świetnych i zajmujących, że możemy śmiało nie mi się pochlubić. Do najlepszych prelegentów zaliczyć można pp. profesorów Staneckiego, Płachetkę, Chlebowskiego i Maszkowskiego, żadna wszakże z ich prelekcji nie zrobiła takiego wrażenia, jak trzy ostatnie odczyty niedzielne p. Łucyana Tatomira o Kazimierzu Wielkim. Młody ten, ale wielce utalentowany i wytrawny pisarz olśnił formalnie wszystkich tak głębokością swojego poglądu na dzieje, jakoteż pięknnością stylu i wymowy, i słuchany też był z taką sympatyą i zajęciem, jak nikt dotychczas. Na chlubną wzmiankę zasługują także dwa ostatnie śródkowe odczyty pp. Ksawerego Godebskiego o życiu i pismach Karola Sienkiewicza, i Wład. Zawadzkiego o życiu i pismach Karola Szajnochy.

(Żeńskie zakłady wychowawcze we Lwowie). Do potrzeb najbardziej naglących u nas wypadałoby słusznie zaliczyć utworzenie wielkiego, odpowiedniego wymaganiom czasu i nauki instytutu wychowawczego dla dziewcząt, któryby był utrzymywany z funduszków krajowych i zostawał pod opieką kraju. Potrzeba ta jest tak wielką i jawną, że dziwić się można, iż dotąd o niej nie pomyślano. Wychowanie przyszłych żon i matek nie może być rzeczą obojętną dla kraju, a zadaniu temu nie zdołają odpowiedzieć ani dzisiejsze szkoły publiczne dla dziewcząt, wystarczające zaledwie dla klas pracujących, ani też praktykowany u klas wyższych system edukacyjny przy pomocy bon i guwernantek, i to po największej części obcych, które nie mają najmniejszego wyobrażenia o naszych stosunkach i obyczajach narodowych. To też wychowanie pleci żeńskiej u nas było i jest dotąd jeszcze prawdziwie opatrnościowem, i jeżeli nie brakło nam dotąd jeszcze zacnych matek i dziewic polskich, możemy to po największej części zawdzięczać prywatnym tylko usiłowaniom kilku szlachetnych Polek, które z ofiarnością prawdziwie kapłańską i z najgłębszem poczuciem obowiązku względem narodu poświęcają swój czas, siły i zdolności wychowaniu naszych córek. Miasto nasze może zaprawdę poszczycić się niejednym takim wzorem; mamy dziś kilka żeńskich zakładów wychowawczych, które zasługują na powszechne uznanie; ale jeżeli żadnemu z nich nie odmawiamy wielkiej zasługi, to jednak największą możemy śmieć przyznać dwom, mianowicie zakładom panien Felicji Wasilewskiej



i Heleny Pożakowskiej. Pierwszej z nich któż nie zna i nie szanuje w naszym kraju, któremu wychowała już niemal całą generację zacnych Polek?! Druga nieustępuje w niczem pierwszej, a chociaż jako początkująca dopiero w tym szlachetnym zawodzie nie mogła jeszcze dorównać tamtej zasługą, to jednak dotychczasowy świetny rozwój jej zakładu jest dostateczną rękojmią, że i jej imię będzie wkrótce wymieniane z równą czcią i wdzięcznością w całym kraju. Takie jest przekonanie nasze, i tego życzymy jej z całego serca.

(Restauracja pomników historycznych w Krakowie). Jak donosi „Czas,” postanowiło Krakowskie Towarzystwo naukowe przedsięwziąć teraz ku większemu uczczeniu 500letniej rocznicy nadania Statutu Wiślickiego, odnowę pomnika czyli grobowca Kazimierza W. w katedrze krakowskiej, któreto znakomite dzieło sztuki uległo już znacznemu uszkodzeniu. Ze składanych już od sześciu lat na ten cel drobnych datków zebrała się kwota 729 zlr., ale to za mało jeszcze, gdyż kosztorys rzeźbiarza wynosi 1200 zlr., i godziłoby się przeto, ażeby troskliwość powszechna o zachowanie drogiej pamiątki narodowych przysłała w pomoc zacnemu przedsięwzięciu Towarzystwa naukowego. Równocześnie odbywa się w kościele N. P. Maryi bez przerwy restauracja wielkiego ołtarza utworu Wita Stwosza, na którą — jak donoszą teraz z Krakowa — przeznaczył sędziwy badacz rzeczy ojczystych, pan Ambroży Grabowski, cały nakład swego „Przewodnika do grobów królów polskich w katedrze krakowskiej.“ Cena tego dziełka wynosi 1 zlr. w. a.

(Dla polskiego świata naukowego) nadeszła z Krakowa miła wiadomość, iż tamtejszy wydział prawniczy ma zasilić się niebawem kilkoma świeżoutworzonymi docenturami, a mianowicie: ekonomii politycznej (dr. Szukiewicz); prawa i postępowania cywilnego (ddr. Zatorski i Jakubowski), i powszechnej historii prawa (dr. Lud. Gumpłowicz, znany w piśmiennictwie krajowem autor kilku dzieł prawniczych). Będzie to zaprawdę bardzo zaszczytne i pożądanе wzbogacenie uniwersytetu jagiellońskiego, tej najstarszej skarbnicy wiedzy nie tylko Polski ale i całego świata.

Na wspomnienie Krakowa nasuwa nam się też mimowolnie na myśl sprawa, o którą toczy się teraz walka między Lwowem i Krakowem, mianowicie kwestya utworzenia zupełnego instytutu technicznego. Idzie o to, czy akademia taka ma być utworzona we Lwowie, czy w Krakowie, i obadwa spółzawodnicy mają bez zaprzeczenia słuszną za sobą. Właściwie też rzeczy biorąc, powinny obadwa miasta mieć swoje akademie techniczne; ale ponieważ dotacya wyznaczona przez rząd wystarcza zaledwie na jedną, więc zdaje nam się, że wypada tu bez wszelkiego powodowania się partykularyzmem przyznać pierwszeństwo Lwowu; raz dlatego, że jest dziś stolicą kraju, a powtórę, iż położeniem swoim w samym środku kraju nastęrcza mieszkańcom jego więcej dogodności i korzyści, niż Kraków.

(Historya polska dla ludu). Nasza literatura historyczna posiada już kilka dziełek, opowiadających w sposób popularny dzieje narodu naszego, między innymi bardzo szacowne „Wieczory pod lipą“ p. L. Siemieńskiego; ale po największej części są one przeznaczone dla dzieci i młodego wieku, historii

zaś przeznaczonej głównie dla ludu nie mamy właściwie dotąd. Potrzebie tej zamierza zaradzić teraz p. Józef Chociszewski, były redaktor „Przyjaciela ludu,” a obecnie redaktor „Piasta,” pisma rolniczo-przemysłowego w Chełmnie (Zachodnich Prusiech), i znany autor wielu dzieł dla ludu i młodzieży, wydaniem historii ojczystej pod napisem: Dzieje narodu polskiego, dla ludu polskiego i młodzieży, objętości 13stu arkuszy druku ozdobionych licznymi rycinami. Cena tego dziełka wynosi w drodze przedpłaty 7½ sr. groszy. Z wydanej w tym celu odezwy autora względem przedpłaty dowiadujemy się także, że oprócz tej historii przygotowuje on jeszcze do druku dwa inne dziełka obrazkowe dla ludu i młodzieży, mianowicie: „Dzieje literatury polskiej“ i „Malowniczy opis Polski“ z temi samymi warunkami przedpłaty jak dla historii. Takiemu wydawnictwu nie możemy jak tylko z całego serca życzyć powodzenia.

(Nowiny ze świata artystycznego). W Krakowie dawał temi dniami w przejeździe z zagranicy do Warszawy koncert p. Józef Dulęba, znany zaszczytnie fortepianista, a kronikarz „Czasu,” który grę jego podziwiał już przed laty, powiada, że talent młodego wirtuozy za granicą znacznie się rozwinął i spotężniał. Największy rozgłos znalazł ten artysta w Warszawie, gdzie przedtem dłuższy czas przebywał, a najlepszym dowodem jego tam popularności jest umieszczony w warszawskim „Tygodniku ilustrowanym“ wizerunek jego wraz z życiorysem.

W dziennikach paryzkich znajdziemy bardzo pochlebną wzmiankę o polskim artyście-malarzu, panu Tytusie Maleszewskim z Poznańskiego. Do wslawienia jego pędzla przyczynił się najwięcej portret znanej w całym świecie śpiewaczki panny Adeliny Patti, któremu recenzenci paryscy oddają bezwarunkowe pochwały.

Jako dowód szanowania naszych talentów artystycznych za granicą można przytoczyć to jeszcze, że paryżki dziennik „L'artiste“ zamieścił temi czasy portret pani Modrzejewskiej, krakowskiej artystki dramatycznej, wraz z sonetem do niej i wzmianką o teatrze krakowskim.

(Pan Zachariasiewicz), znakomity nasz powieściopisarz, bawi od dłuższego już czasu w Warszawie. Niedawno wyszła tam przedrukowana z „Kłosów“ najnowsza powieść jego „Zakazane owoce,” i okoliczność ta stała się ni ztąd ni owąd przyczyną wielkiej burzy w dziennikarstwie warszawskim. Znany tłumacz Tarasa Szewczeni, p. Leonard Sowiński, któremu zachciało się koniecznie poznać swój wizerunek w jednej z powieściowych figur p. Zachariasiewicza, korzystając z chwili, wystąpił w jednym z pism warszawskich z namietną krytyką tej powieści, obwiniając autora o pisanie pamfletów politycznych i t. p. Z przyjemnością jednak donieść możemy, że wszystkie poważniejsze pisma warszawskie wystąpiły solidarnie w obronę naszego powieściopisarza i zmusiły tem do milczenia złość osobistą. Tak to namietność karze zwyczajnie sama siebie.

(Nekrologia polska.) W pierwszych dniach miesiąca marca r. b. zmarł w Warszawie znakomity malarz polski Józef Simler, twórca kilku wielkich obrazów historycznych,



między którymi szczególnie „Śmierć Barbary“ zjednała mu sławę mistrza nie tylko w Polsce, ale i za granicą na wystawie paryskiej. Ze zgonem jego poniosła sztuka narodowa bez zaprzeczenia bardzo wielką stratę.

W tej rubryce wypada nam też zapisać inne jeszcze imię polskie, które chociaż nie bezpośrednio, ale zawsze z niemałym pożytkiem służyło swojej ojczyźnie. Jestto imię znanej zaszczytnie w literaturze niemieckiej autorki, Herminii Glińskiej, zmarłej w Wiedniu w drugiej połowie lutego r. b. Lubo Polka z urodzenia, poświęcała się Glińska z szczególnem zamiłowaniem literaturze niemieckiej, zasilala swojemi artykułami kilka dzienników wiedeńskich i wydała kilka znaczniejszych powieści, między którymi szczególnie dwie: „Hrabia Godziemba“ i „Wera“ osnute na tle ostatniego powstania polskiego, znalazły wszędzie najzaszczytniejsze uznanie. Było w istocie talent niepospolity, i żałować trzeba, że zgasł zawczasie.

### *Ze świata.*

(Wiadomość o Livingstone). Przed półrokiem donoszono, że sławny podróżnik angielski Livingstone, który przed kilkoma laty zapuścił się w głąb Afryki dla zbadania nieznanych dotąd okolic, miał paść ofiarą złości jednego z plemion tamtejszych. Od tego czasu nadchodziły z tamtych stron rozmaite wieści, ale zawsze niedokładne i wątpliwe; jedne potwierdzały zgon podróżnika, drugie zaprzeczały temu. Londyńskie towarzystwo jeograficzne wysłało przeto umyślną wyprawę dla odszukania Livingstone'a, i teraz ogłosił prezes tego towarzystwa, Rod. Murchison telegram otrzymany od dowódcy wyprawy Younga, że sławny podróżnik żyje i widziany był w okolicach jeziora Tanganyik.

(Statystyka sądownictwa angielskiego). Przyszłoroczna statystyka sądownictwa w Anglii wykazuje, że liczba znajdujących się na wolnej stopie zbrodniarzy w Anglii i Walii wynosi 113.466, z których 33.101 należy do rubryki włóczęgów i szubrawców. Z uwięzionych zbrodniarzy znajduje się 15.708 w więzieniach lokalnych, 7.018 w domach karnych, a 3.635 w zakładach poprawczych. W obec tej armii zлочyńców i innych, nieznanych jeszcze osobiście sądom, istnieje ku ochronie bezpieczeństwa publicznego policja, licząca 23.728 głów, na których utrzymanie wydał kraj w tym roku 1,827.107 funtów szterlingów, t. j. przeszło 23 milionów złr. w. a.

(Ogrody pływające w Meksyku). Większą część roślin pożywnych hodują Meksykanie w tak zwanych Chinampas, które Europejczycy nazywają pływającymi ogrodami. Są one dwojakiego rodzaju, jedne ruchome i często kolysane wiatrami, drugie stałe i połączone z wybrzeżem. Tylko pierwsze mogą się zwać pływającymi, ale liczba ich zmniejsza się coraz bardziej. Zmyślny ten wynalazek Chinampów datuje się jeszcze z XIV wieku, a myśl tę podała mieszkańcom zapewne natura sama. Częstość znajduje się w takim ogrodzie pływającym także chata Indianina. Każda stała Chinampa ma kształt podłużnego czworoboku, 200 stóp długości a 20 szerokości, i od sąsiada dzieli ją rów wązki. W tych Chinampach hodują bób,

groch, pieprz, karczochy, jarzynę i znaczną ilość innych roślin. Brzegi zaś otoczone są zwykle kwiatami, a czasem także płotem różanym. Całość ich przedstawia bardzo piękny widok i uprzyjemnia wielce przejazdki łodzią około tych ogrodów, osobliwie na jeziorach Istacalco i Chapala.

(Ptak Chlamydera). W Australii odsłania nam przyroda coraz dziwniejsze rzeczy. Dotąd nie przepuszczano nawet, by mogło istnieć zwierzę, któreby pracowało nad potrzebę i zakładało coś, zdającego się mieć wyłącznie przyjemność na celu. A w Australii istnieje przecież rodzaj ptaka, zwanego Chlamydera, który się zabawia nawet zbytkową architekturą i nadaje tym sposobem wyższy urok swojemu życiu. Ptak ten gnieździ się w sposób zwyczajny, ale oprócz tego buduje jeszcze rodzaj komnaty, którą możnaby nazwać niejako salonem jego. Budynek ten, zwykle miejsce pobytu ptaków, spoczywa na szerokim fundamencie z przeplatanych prętów. Na tej podstawie wznosi się w pośrodku utworzona z zatkniętych pionowo prętów sala, mająca nieraz trzy stóp długości; pręty stojące gęsto jeden przy drugim, spojone są przeplataniem żdźbełkami słomy i zasklepiene w łuki u góry. Wewnętrzne ściany są całkiem gładkie i równe. Ażeby jednak nie zbywało temu pomieszkaniu także na wykwintności i ozdobie, zbiera ów ptak skrzętnie rozmaite drobiazgi, uderzające przyjemnie w oczy, jako to pstrokate piórko ptasie, skorupki ślimacze, muszle i t. p. W tym celu robi dalekie wycieczki, i niejedno przydać mu się może, co człowiek zgubi lub wyrzuci. Wszystkie zebrane skarby bywają ładnie układane u wchodów i w głębi pałacu, a nawet ściany i pułap zdobią tu i ówdzie jaskrawe piórka niby chorągiewki i arabeski. Tak więc znajdujemy wesoły i zajmujący obraz życia zwierzęcego w miejscu, gdzie jeszcze człowiek sam bardzo poślednią odgrywa rolę.

(Ludzie z rogami). Niedawno doniósł jeden z dzienników zagranicznych, że istnieją na świecie ludzie z rogami. Niechciano temu wierzyć. Tymczasem wiadomość ta, jakkolwiek na pozór nieprawdopodobna i zakrawająca na kaczkę dziennikarską, nie jest jednak tak zupełnie niesłychaną, jakby się zdawać mogło. Debay bowiem w swoim dziele pod napisem „Histoire naturelle de l'homme et de la femme (str. 114) podaje między innemi co następuje: „W Efemerydach ciekawych zjawisk przyrody znajdują się wizerunki kilku ludzi z rogami, a między innemi dziecka, mającego jeden róg na ręce prawej, drugi na prawej nodze, dwa zaś podobne wznosiły się na łydce lewej. W ogóle miał cztery rogi.“ — Tomasz Bartholin pisze o kobiecie, mającej na czole dwa zgięte rogi, którą na własne widział oczy w Kopenhadze; rogi te mocno przystawały do kości czaszki, i właścicielka mogła ich używać tak do zaczepki, jak do obrony. — W Anatomii patologicznej Cruivilliera znajdujemy następujący wizerunek: „Niejaki Franciszek Trouillu, przyprowadzony do Paryża w 1599 przez marszałka Lavardin, liczący trzydzieści pięć lat wieku, miał na szerokim swem czole sterczący róg tak długi i twardy jak kość; róg ten, wraz z pękiem twardych i długich włosów, zwisających u podbródka, nadawał mu podobieństwo do Satyra.“



Po cenach znacznie niższych

# KATALOG TANICH KSIĄŻEK POLSKICH

które nabyć można

w księgarni F. H. RICHTERA we Lwowie.

**AKTA SYNODU** prowincjonalnego lwowskiego w r. 1564 odbytego. Z aktów konsystorza metropolitalnego lwowskiego wypisał i wydał ks. Seweryn Morawski. — *Cena 20 centów.*

**BOJAR ORSZA.** Poemat Lermontowa, przełożył z rosyjskiego Gustaw Czer. Wydanie ozdobne w 8ce.

Z charakterystycznych poematów Lermontowa, jest „Bojar Orsza“ najcharakterystyczniejszym i na tle prawdziwie rosyjskiem osnuty — jest to można powiedzieć obraz ogromnego życia i stłumionego ognia.

*Cena 40 centów.*

**DWAJ LUTNIŚCI.** (Klemens Janicki. Sebestyan Klonowicz.) Obrazki z naszej przeszłości napisane przez Jana Zachariasiewicza.

Te dwie powiastki należą do najpiękniejszych utworów tegoż autora i mogą być czytane w każdym wieku zawsze z przyjemnością i pożyteczną rozrywką.

*Cena dotychczasowa 1 zł. 60 cent. za 80 cent.*

**DZIENNIK LITERACKI**, zawierający: Rozprawy naukowe, umnicze i moralne, powieści, poezje, obrazy obyczajowe, opisy miejsc i pomników, rozmaitości literackie i artystyczne, recenzje dzieł i t. d. in 4to z tytułem i pisem rzeczy — broszurowany:

Rok I. (1852) pod redakcją K. Szajnochy. — *Cena 8 złr.*

Rok II. (1853) pod redakcją F. Łobeskiego. — *Cena 6 złr.*

Rok III. (1854) obejmuje Nr. 1 — 43 — *Cena 4 złr.*

**DZIERZANOWSKI.** Dramat w 5ciu aktach przez J. Szujskiego — *Cena 1. złr.*

**GERTRUDA KOMOROWSKA**, starościna bełzka, powieść historyczna napisana oryginalnie przez Maryą Pomezańską trzech tomach.

Za treść opowiadania posłużyła autorce tragiczna miłość młodego Szczęsnego Potockiego i Gertrudy Komorowskiej; będąca jak wiadomo przedmiotem poematu Maleszewskiego „Marya“. Piękny ten utwor jest szczególnie dla płci pięknej upominkiem, i tak przez matki jak i córki może być czytany nie tylko z estetycznym ale i moralnym pożytkiem.

*Cena dotychczasowa 3 zł. 50 c. za 2 złr.*

**GEOGRAFIA** albo dokładne opisanie królestw Galicyi i Łodomeryi w roku 1786 przez Hr. Kuropatnickiego.

Dzieło to było napisanem w kilka lat po odstąpieniu naszego kraju przez Polskę i zajęciu jako prowincyi węgierskiej w dziedziństwo domu Habsburskiego, daje onemuż wartość dokumentu historycznego z osta-

tnich dziesiątek lat XVIII wieku. Jakoż autor stanowisko to głównie uwzględnił, i podał bogaty materiał o oświecie, rękodzielnach, przemysle, handlu i w ogólności wewnętrznem życiu mieszkańców, szczególnie starannie spisywał miejscowości ważne dla pamiętek historycznych, budowli, zakładów i fabryk, równie jak mienie pojedynczych rodzin szlacheckich które dziś już po większej części w obcym znachodzą się rękę

*Cena 60 centów.*

**GORZELNICTWO** czyli praktyczna nauka o wyrabianiu wódki z kukurudzy, kartoffi i różnego zboża — przez Romualda Piątkowskiego. — *Cena 50 cent.*

**HISTORIA SZEWCJA JANA KILIŃSKIEGO**, radnego miasta Warszawy, pułkownika Najj. Rzeczypospolitej polskiej, dowódcy 20go pułku piechoty za czasów Kościuszki. Napisana wierszem i prozą. (Z portretem Kilińskiego.)

*Cena 15 centów.*

**KAZANIA NIEDZIELNE** w przeciągu całego roku, miane przez kapłana obrz. ormiańskiego archid. lwowskiej.

*Cena dotychczasowa 2 złr. 40 cent. za 2 złr.*

**KAZANIA O MĘCE PAŃSKIEJ** i nauki przygodne, miane przez Kapłana obrz. ormiańskiego (J. Isakowicza). 8vo. 1857. (VIII. 228 str.) — *Cena 2 złr.*

**KRONIKA MIASTA LWOWA** obejmująca w ogólności: Dzieje dawnej Rusi czerwonej, a zwłaszcza historią Arcybiskupstwa lwowskiego 8ce. w. Ważne to dzieło historyczne, opowiadające rok po roku główne zdarzenia miasta Lwowa w najpamiętniejszej jego epoce, zwraca osobliwie uwagę na wypadki dotyczące stanu kościoła i spraw duchownych, jest przeto równie znamenitem wzbogaceniem materiału do historyi miast, jako też i dziejów kościoła krajowego. Na końcu znajduje się dokładny spis imion historycznych i geograficznych wzmiankowanych w tej kronice.

*Cena dotychczasowa 4 zł. 20 c. za 2 złr.*

**KRÓTKIE ROZMYŚLANIA** o męce Jezusa Chrystusa i bolesnych Najj. Panny. Pamiętka dla pobożnego chrześcianina. 12mo. (132 str.) — *Cena 20 centów.*

**KSIĄŻECZKA DO NABOŻEŃSTWA** ułożona według nauki kościoła rzymsko-katolickiego, szczególnie dla użytku młodzieży wiejskiej. Nowe wydanie z dołączeniem pieśni nabożnych i Ministrantury. — *Cena 20 centów.*

**KUCHARKA POLSKA**, zawierająca szkołę gotowania tanich, smacz-

nych i zdrowych obiadów zebrana przez Florentynę i Wandę.

Z tej książki każda młoda gospodyni, chociażby najmniejszego wyobrażenia o kucharstwie nie miała, może przyrządzać obiady smaczne, tanie i zdrowe — lub osoba chcąca wyuczyć się kucharstwa, może z tej szkoły w przeciągu krótkiego czasu zyskać sławę dobrej i porządnej kucharki).

*Cena 50 centów.*

**NAWIEDZANIA NAJŚWIĘTSZEGO SAKRAMENTU** i niepokalanie poczętej Maryi Panny, na każdy dzień miesiąca. Książka do nabożeństwa napisana dawniej po włosku przez sługę Bożego, św. Alfonsa Marya Liguori.

*Cena 50 centów.*

**OJCZE NASZ** na ośm nauk pasyjnych rozłożony, tudzież niektóre przypowieści Chrystusowe w naukach pasyjnych wykładane przez kapłana obrz. ormiańskiego. — *Cena 2 złr.*

**O NIEPOKALANEM** poczęciu Najświętszej Panny Maryi. Wydanie ks. Odelgiewicza. — *Cena 30 centów.*

**PAMIĘTNIK DZIEJÓW POLSKICH** z aktów urzędowych lwowskich i rękopismów zebrany przez ks. S. Barączę, w 8ce w. obejm. następujące przedmioty: Listy Zygmunta III. z r. 1618. — Listy Jana Ubaldiniego z r. 1677. — Listy Bohdana Chmielnickiego z r. 1648. — Uniwersał Generała szwedzkiego z r. 1657. — List Stefana Czarneckiego z r. 1658. — Likwidacja szkół z r. 1658. — Momoryał na sejmik Wiszeński z r. 1668. — Listy Jana Sobieskiego z r. 1669. — List Bartłomieja Zimorowicza z r. 1669. — Uniwersał Jana Morsztyna z r. 1673. — List względem Podkomorzego Łęczyckiego. — List Piotra Doroszeńki z r. 1667. — Droga Posła Radziejewskiego do Porty w r. 1667. — Sojusz z Moskwą z r. 1676. — Instrukcja na sejm z r. 1683. — Instrukcja na sejmik z r. 1685. — Nowiny z r. 1709. — Punkta Konfederacyi z r. 1696. — Instrukcja na sejm z r. 1699. — Respons Xcía Kardynała z r. 1703. — List do podkanclerza z r. 1704. — Relacja legacyi do Wiednia z r. 1669. — Nowiny z r. 1706. 1707. 1708. 1709. — Repons na punkta wojsku Zaporowskiemu 1675. — 1675. — Listy z Krakowa z r. 1724. — Kronika zakonnic Ormiańskich. — Wypisy z metryki Katedry Lwowskiej. — Dzieje Tysmienicy. — Listy Stanisława Leszczyńskiego. — Opis historyczny założenia szpitalu św. Łazarza we Lwowie. — Wypisy z aktów kapituły Lwowskiej łacińskiej.

*Cena dotychczasowa 2 zł. 80 c. za 1 złr. 50 centów.*

**PIWOWARSTWO** czyli wykład warzenia piwa, obejmujący przepisy jak warzyć z łatwością różne gatunki piwa, w wielkich ilościach w browarach, jako też w małych na domowy użytek bez



wielkich kosztów — środki zaradcze do przechowania w beczkach i butelkach — oraz sposoby robienia słodów i drożdży, poznanie dobrej wody do browarów i gorzelni i t. d. w praktyce zebrał i opisał R. Piątkowski.

*Cena 50. cent.*

**PISMA STANISŁAWA ŻÓŁKIEWSKIEGO**, kanc. koron. i hetmana, wydał August Bielowski. Wydanie ozdobione popiersiem autora, zdjętym z portretu znajdującego się w zakładzie im. Ossolińs. w 8ce w str. 728.

Ważny ten pomnik narodowy, dotychczas tak mało znany, obejmuje w części pierwszej: Historię wojny moskiewskiej za panowania Zygmunta III., poprawnie wydaną według trzech rękopisów przez śp. Wagilewicza. — Część druga obejmuje: Mowy, listy, uniwersały i inne pisma pomniejszych w porządku chronologicznym. — Część trzecia: Sprawy przez Żółkiewskiego załatwiane lub jego dotyczące. — Wstęp do tego dzieła obejmuje Rys z życia Stanisława Żółkiewskiego, skreślony przez Aug. Bielowskiego.

*Cena dotychczasowa 7 złr. 50 cent. za 4 złr.*

**RYS DZIEJÓW ZAKONU KAZNO-DZIEJSKIEGO W POLSCE** ułożył ks. S. Barącz. Wydanie ozdobne na papierze welin 2 tomy w 8ce.

Tom pierwszy obejmuje:

Początki zakonu kaznodziejskiego. — Prace apostołskie zakonu kaznodziejskiego. — Nauki i kunszt tegoż zakonu. — Historię zakonu kaznodziejskiego w Polsce od roku 1220 do 1324. — Towarzystwo braci pielgrzymujących od roku 1324 do 1456. — Zniesienie Towarzystwa braci pielgrzymujących od r. 1456 do 1612 — Opis klasztorów prowincji ruskiej od r. 1612 do 1855.

Tom drugi obejmuje:

Żywoty biskupów i arcybiskupów oraz uczonych i pisarzy zakonu kaznodziejskiego wraz z wykazem szczegółowym wszystkich dzieł jakie wydali. Opis historyczny i statystyczny wszystkich klasztorów w prowincji polskiej, ruskiej i litewskiej. O klasztorach Obserwantów — O klasztorach żeńskich i t. d.

*Cena dotychczasowa dwóch tomów 8 złr. 40 c. za 4 złr.*

**ŚWIAT** popularnie opisany przez Juliana Horoszkiewicza. w 8ce.

Dzieło to dla użytku młodzieży napisane, jest może jedynym w języku polskim które tak jasno i dostęпно wyklada naukę astronomii.

*Cena dotychczasowa 1 złr. 5 cent. za 60 cent.*

**ŚWIĘTOJAŃSKIE WIANKI**. Książka zbiorowa, pożytkowi i rozrywce poświęcona. 12mo. — *Cena 30. centów.*

**SYNOWIE GEDYMINA**. Opowiadanie historyczne przez Kazimierza Stadnickiego: Tom II. część pierwsza obejmuje: Lubart książę wołyński. Część druga. Dzieje Wołynia od śmierci króla Ludwika.

Załączamy treść niektórych przedmiotów znajdujących się w tém ważnym historycznym dziele:

Śmierć króla ruskiego Daniela. Synowie jego: Roman, Swarno, Leon, Mścislaw. — Dotkliwa półwiekowa przerwa w dziejach

Rusi zachodniej. — Potomstwo Leona Daniłowicza. — Zależność tej ziemi od tatarskiej hordy. — Tradycyjna polityka książąt Piastów względem Rusi. Kazimierz W. zajmuje Ruś zachodnią. — Udział Litwy w rozwalinach państwa Włodzimierza Wielk. — Jedyna dotąd znana kronika litewska, jak opisuje zabór Wołynia i Ukrainy przez Gedyminę — Litwini roszczą sobie prawo do Rusi Kazimierzowskiej. — Pierwsza transakcja między królem Kazimierzem W., a książętami litewskimi co do ziem ruskich. — Sposobność oderwania Rusi halickiej z pod berła polsk. Mianowanie Piasta Władysława Opolskiego wielkorządcą Rusi. — Znaczenie i skutki tego wyboru. — Ustanowienie metropolii w Haliczu, i biskupstw w Przemyślu, Chełmie, Włodzimierzu. Historyczne tej fundacji znaczenie. — Król Ludwik staje na czele wojsk węgierskich i polskich. — Władysław Opolski zrzuca się rządów Rusi. — Król Ludwik po nim obejmuje rządy na Rusi, i główne zamki tanze wojskiem węgierskiem osadza. — Ludwik dążył nie do oderwania jednej prowincji od Polski ale do wieczystego połączenia Polski i Węgier pod jednym berłem. — Wojna domowa wszczęta przez stronników Zygmunta, ale obie strony walczą pod standarem Maryi. Zrzeczenie się tronu polskiego ze strony Maryi. Chwilowa rewolucja w Węgrzech spowodowana przez wystąpienie Karola księcia Durazzo. — Śmierć Elżbiety i uwięzienie Królowej Maryi. — Najdogodniejsza chwila dla królowej Jadwigi do zajęcia ziem ruskich. — Gdy Władysław na Litwie apostołuje, rada koronna prowadzi Jadwigę do Lwowa. Cała Ruś Kazimierzowska prócz Twierdzy Halicz, poddaje się królowej.

*Cena dotychczasowa 2 złr. 50 cent. za 1 złr. 20 cent.*

**SZPIEG SALONOWY** (l'espion du grand monde). Powieść P. Saint Georges. Przełożył z francuzkiego Henryk Nowakowski — 4 tomy.

Powieść ta wzięta jest z życia Karbonaryuszów i wykrywa wiele tajemnic. Wszystkie postacie wprowadzone do działania odznaczają się prawdą i silnym rysunkiem w tej niezmiernie zajmującej powieści, poruszającej oraz kwestye społeczne, a w skutek tego jest zakazaną surowo w Królestwie polskim.

*Cena dotychczasowa 2 złr. 80 cent. za 1 złr. 60 cent.*

**TRZYSTA PYTAŃ I ODPWIEDZI Z GORZELNICTWA** jako to: słodowanie zboża i suszenie, robienie zacierów z kartofel, kukurudzy i ze zboża; chłodzenie ich; robienie drożdży sztucznych (hołowic); ustawianie zacierów i fermentacya oraz postępowanie z ciepłomierzem (termometrem), z cukromierzem (zacharometrem), z kwasomierzem (acidometrem) i probierzem kartofel, z dołączeniem najlepszego sposobu robienia drożdży na użytek właścicieli gorzelni, a szczególnie uczących się gorzelnictwa praktykantów — napisał Romuald Piątkowski.

Jest to popularnie wyłożona nauka gorzelnictwa, z której nie tylko praktykant gorzelnictwa wiele korzystać może — ale jest nader użyteczną dla właścicieli gorzelni — ponieważ z niej można przekonać się o zdolnościach każdego gorzelnika szukającego zajęcia w gorzelni.

*Cena 1 złr.*

**WYKŁAD HISTORYCZNY I MORALNY** świąt, obrzędów i zwyczajów

kościół katolickiego przez ks. Arciebskiego.

Dziełko to dla młodzieży napisane, jest nader pożytecznem dla ludu — podzielone zostało na dwie części. Część pierwsza obejmuje: Wykład szczegółowy wszystkich świąt, uroczystości i zwyczajów kościelnych. Część druga zawiera: Wykład wszystkich obrzędów jako to chrztu, bierzmowania, sakramentu ołtarza, o mszy świętej, komunii świętej, — o sakramentach kapłaństwa, małżeństwa, pokuty, pomazania itd.

*Cena dotychczasowa 1 złr. 15 cent. za 60 cent.*

**WYKŁAD** popularny sztuki malowania farbami wodnemi. Rzecz o krajozdrożach dla szkół, pensyj i prywatnej nauki. — *Cena 30 centów.*

**ZOFIA MORSZTYNÓWNA**, dramat w 4ech aktach, napisał Dr. Stan. Pilat. Dramat ten na treści historycznej osnuty, już był kilkakrotnie przedstawiony na scenie Lwowskiej, warszawskiej i krakowskiej — pozostał teraz piękną pamiątką po ś. p. Stanisławie Pilacie.

*Cena dotychczasowa 1 złr. 20 cent. za 60 cent.*

**ŻYWOTY SŁAWNYCH ORMIAN** w Polsce. Napisał ksiądz Sadok Barącz. Wydanie ozdobne popiersiem Jego Ex. Arcypasterza i Nestora Ormian Gali-cyjskich. w 8ce.

Spis niektórych żywotów zawartych w tem dziele: Abgarowicze — Abramowicze — Abrahamowicze — Agopowicze — Amirowicze — Antoniewicz — Arakielowicze — Augustynowicze — Awakowicz — Axtontowicze — Bachdazarowicz — Bajdułowicz — Baliccy — Balsam — Barące — Berlatowicze — Bogdanowicze — Bogusze — Bochdanowicze — Bochosowicze — Bochosówna — Butachowicz — Chodykiewicz — Churszewicze — Derbedraszewicz — Derjakubowicze — Derszymonowicz — Derwaszkiewicz — Donabiedowicz — Donigiewicz — Donowakowicze — Eiwaz — Faruchowicz — Gamocki — Głuszkiewicz — Grechorowicz — Hadziewicz — Holubowicz — Jakubowicz — Jaskiewicz — Jędrzejowicze — Józefowicze — Iwaszkowicze — Kajetanowicz — Kalusty — Kasparowicz — Kieremowicz — Krzczunowicze — Kierkorowicz — Kırkorowicz — Krzystofowicze — Kutubaj — Latynowicz — Łyszkiewicz — Maliewicz — Manczukiewicz — Manugiewicz — Maramorosze — Michalewicz — Mikołajewicze — Minasowicze — Minasiewicz — Moszory — Muratowicz — Nikorowicz — Nurkiewicz — Ohanko — Ohanowicz — Persa — Petrowicze — Petuły — Piramowicz — Rimaszkany — Seferowicz — Serekowicz — Sieńkowicz — Stekowicz — Stefanides — Sulejman — Symonowicz — Szeferowicz — Szymonowicz — Teodorowicz — Torosiewicz — Tumanowicz — Warczyk — Wartanowicz — Warteresowicz — Wasilowicz — Warteresiewicz.

*Cena dotychczasowa 3 zł. 50 c. za 1 złr. 80 cent.*

W tych dniach wyjdą z pod prasy drukarni narodowej W. Manieckiego: „Przepisy sekretne pieczenia ciast świętecznych, oraz chleba, bułek, rogali i różnych przysmaczków do kawy i herbaty“ — zebrane przez Florentynę i Wandę. — *Cena 50 centów.*

Wszystkie książki powyżej wyszczególnione przesyła się za nadesłaniem pieniędzy, lub przekazem pocztowym na wskazane miejsce. — Nabyć można po niższych cenach w księgarni F. H. Richtera, i w drukarni narodowej W. Manieckiego we Lwowie, pod l. 137 miasto.